

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

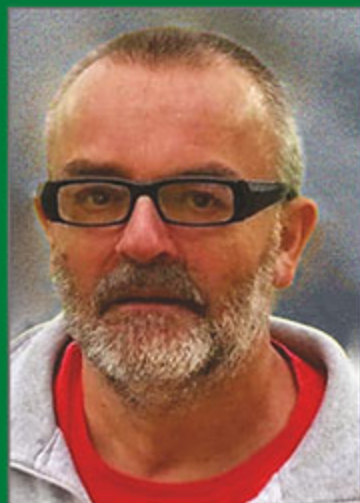
ISSN 2392-2753

Nr 1 (28)

tom VIII 2022

J. Andrzejczak
J. Binkowski
K. Boruń-Jagodzińska
A. Chąciński
D.J. Ćirlić
L. Długosz
J. Durski
A. Dutka-Mańkowska
E. Eysymontt
S. Gibaszek
J. Hašková
E. Kasjanowicz
A. Książek
A.W. Kulik
J. Marciniak
M. Miočinović
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasilowska
W.A. Niewęglowski
W. Oramus

A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
W. Reymont
K.S. Schreyer
I. Słomińska
M. Strękowska-Zaremba
K. Sutarski
J. Śleszyński
G. Walczak
P. Wojciechowski
O. Wójcik



Piotr Bratkowski

Obraza ciała

mąż do pracy
żona dzwonić po kumach
schodzą się, jedzą, piją,
zasypiają,
mąż wraca, widzi,
zdejmuje pas, i bić
wszystkie
piszcza
uciekają
skarżą do sądu,
— o, tu, o, tu, ślady
— o, żona, najwięcej
łapią pokazać, się wrywa,
staje przy mężu
— ja z nim

Miron Białoszewski

Z cyklu *Podfruwaje*. Skan z tomu *Wiersze wybrane i dobrane*
SW Czytelnik, Warszawa 1980



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 3-4 (26-27) 2021

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Zbigniew Zbikowski

Prezes OW SPP

Zastępcy redaktora naczelnego

Małgorzata Karolina Piekarska

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki, Sylwia

Gibaszek, Dorota Koman, Małgorzata

Strękowska-Zaremba

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Zbigniew Zbikowski

Ogląd i pogląd3

Anna Nasiłowska

Pożegnanie Andrzeja

Chącińskiego (1932 2021)5

Anna Nasiłowska

Pożegnanie Jacka

Durskiego (1943 2021)9

POMNIK Poetów Piewców

Powstania Listopadowego11

Anna Nasiłowska

List Prezes SPP do władz Poznania

w sprawie Muzeum Józefa

Kraszewskiego 12

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Dwie rocznice księdza

Wiesława A. Niewęglowskiego14

Ks. Wiesław A. Niewęglowski

Wiersze17

BOŻE NARODZENIE 2021

Anna Dutka-Mańkowska, Sylwia

Gibaszek, Piotr Müldner-Nieckowski,

Alicja Patey-Grabowska, Maria

Jolanta Piasecka, Krzysztof Saturnin

Schreyer, Małgorzata Strękowska-

-Zaremba, Grzegorz Walczak,

Piotr Wojciechowski, Olga Wójcik

Wiersze18-28

KRYTYKA-ESEJE-SZKICE

Jerzy Binkowski

[Irena Słomińska] 29

Adam W. Kulik

[Leszek Długosz]32

Konrad Sutarski

[Władysław Reymont: Bunt]41

Grzegorz Walczak

Teatr zakopiańczyków 43

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze51

Jerzy Binkowski

Wiersze55

Anna Dutka-Mańkowska	
Wiersze	56
Ewa Eysymontt	
Wiersze	59
Sylvia Gibaszek	
Wiersze	62
Eugeniusz Kasjanowicz	
Wiersze	64
Andrzej Książek	
Aforyzmy.....	68
Wiersze	71
Jerzy Marciniak	
Wiersz	74
Piotr Müldner-Nieckowski	
Wiersze	76
Alicja Patey-Grabowska	
Wiersze	79
Maria Jolanta Piasecka	
Wiersze	81
Małgorzata Karolina Piekarska	
Wiersz	83

Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wiersze	84
Jerzy Śleszyński	
Wiersze	87
Grzegorz Walczak	
Wiersze	89

PROZA

Jerzy Marciniak	
Nagrody twórcze do zwrotu.....	92
Wiesława Oramus	
Pani od trudnych spraw	100
Alicja Patey-Grabowska	
Przez okno	106
Antoni Pieńkowski	
Dłonie, Malina, Podróż.....	109

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
[Jarmila Hašková]	113
Dorota Jovanka Čirlić	
[Mirjana Miočinović]	118



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zbigniew Zbikowski

Ogląd i pogląd

Trendy huczą, my płyniemy

Internet donosi, że Polacy ostatnio mniej kupują alkoholu. W konsekwencji mniej piją. Najsilniej ta nagła a niespodziewana niechęć do napojów oprocentowanych odbiła się w minionym okresie na branży piwowarskiej, trochę mniej na wódczanej, niemniej trend jest wyraźny i mocny. Powodem ma być pandemia – mniej okazji do spotkań, a zatem i okazji do wypicia nie za wiele. Dla piwowarów to dramat, dla wódopędów zmartwienie, a i dla budżetu państwa, jak by nie liczyć, strata na akcyzie, choć oficjalnie oczywiście cieszymy się, że naród trzeźwieje. Czy to trend stały, wiosną 2022 roku stwierdzić nie sposób, bo zbyt wiele niewiadomych czynników go kształtuje. Jest jednak motyw na zastanowienie.

W poprzednim roku świat literatury i książki (to nie to samo, mówimy wszak o twórcach i o producentach) zachłysnął się informacją, że w pierwszym roku pandemii czytelnictwo książek wzrosło w Polsce o całe cztery procent, do liczby 42. Wyobraźnia i chciejstwo podsunęły prostą korelację – mniej piją, więcej czytają, brawo, także na tym polu dościgamy Zachód. I byłoby pięknie, i kulturalnie zarazem, gdyby nie najnowsza, kwietniowa informacja Biblioteki Narodowej: po spektakularnym wzroście czytelnictwa książek w 2021 roku (dokładniej od kwietnia 2021 do marca 2022) nastąpił powrót do poziomu z roku 2019, czyli sprzed pandemii. Tak więc po lechickim zrywie, który na chwilę przypisał nam w rankingu europejskiego czytelnictwa poziom nieco wyższy niż połowa wskaźnika czeskiego, nasi południowi sąsiedzi znowu mogą głosić, że w ujęciu procentowym ponad dwa razy więcej Czechów niż Polaków sięga po książki.

A co z piwem? Niestety, cichcem tkana tu korelacja, poparta nie badaniami, ale jedynie umysłową gimnastyką, upada jak domek z kart po pierwszym podmuchu. Statystyczny Czech wypija rocznie ponad połowę

więcej piwa niż Polak i wcale nie ma zamiaru z nawyku tego rezygnować. Jak i z czytania. Te dwa parametry nie idą u nich w parze i nie są przeciwstawne. Okazuje się, że tylko dwa procent Czechów nie ma w domu żadnej książki, podczas gdy polskich domów uwolnionych od książek – jeśli nie brać pod uwagę podręczników szkolnych – jest aż 31 procent.

Ażeby obraz czytelnictwa w Polsce jeszcze bardziej zagmatwać i uczynić paradoksalnym, trzeba przypomnieć, że mimo awersji większości Polaków do słowa drukowanego, liczba wydawanych tytułów z roku na rok rośnie i zbliża się już do 40 tysięcy, przy 25 tysiącach w roku 2015. Księgarnie, biblioteki, wreszcie domowe półki i szafy tego skromnego odsetka czytających Polaków pękają w szwach – jeden procent Polaków, czytelnicza elita, można rzec, trzyma w domach nawet po tysiąc książek i więcej. Za rosnącą liczbą tytułów podąża pęczniejące grono autorów. Łatwość, z jaką dziś można wydać (niestety, najczęściej za własne pieniądze) porządnie wyglądającą książkę, sprawia, że coraz liczniejsza jest grupa osób wybierających tę formę samorealizacji. Zabawnie komentuje to krążący w Internecie rysunek, którego lewa strona pokazuje rzeszę autorów przed wydaniem ich nowych książek, prawa zaś jednego czytelnika, który na te premiery czeka.

Jak my wypadamy na tym tle z naszym środowiskowym kwartalnikiem literackim? Jak zawsze. Dzięki zaangażowaniu kilkorga wolontariuszy, w zasadzie bezkosztowo (płacimy tylko za druk skromnego nakładu), dajemy szansę gronu koleżanek i kolegów z SPP na zaistnienie ich utworów w obiegu literackim, czy to w formie drukowanej, czy cyfrowej, niezależnie od trendów skolerowanych i nieskolerowanych z czytelnictwem. I cieszy nas, że – sądząc po liczbie zapytań docierających do redakcji – na każdy kolejny numer czeka znacznie więcej odbiorców niż ten jeden czytelnik ze wspomnianego satyrycznego rysunku.

Zbigniew Zbikowski

Anna Nasiłowska

Pożegnanie

Andrzeja Chącińskiego (1932-2021)

Andrzej Chąciński urodził się w Warszawie 13 stycznia 1932, a zmarł tamże 18 grudnia 2021 roku.

Pierwsze kontakty ze światem pisarskim i wydawniczym nawiązał w latach 1954-1956, kiedy zaczął pracować w wydawnictwie Budownictwo i Architektura i podjął studia na UW. W październiku 1956 roku w liczącym kilka osób gronie członków Koła Młodych przy ZLP został członkiem grupy literackiej „Współczesność” i założycielem periodyku literackiego o tym samym tytule. Na stanowisku sekretarza redakcji „Współczesności” pracował od lipca 1958 do stycznia 1960 roku. Po zwolnieniu dostał pracę w miesięczniku dla pracowników spółdzielni rolniczych – „Nasz Sklep”. Pracował tam do września 1968 roku.

W 1965 roku w wydawnictwie „Czytelnik” wydał zbiór opowiadań pt. *Piękne niedziele*. Kilka utworów, które weszły w skład tego tomu, ukazało się we „Współczesności” i „Nowej Kulturze”, a jedno – w wydawanym przez „Iskry” *Almanachu Młodych*.

W 1971 roku opublikował w „Czytelniku” następny zbiór opowiadań pt. *Rozstanie z Ireną*.

Trzecią książką, którą wydał, był tom opowiadań pt. *Podróż do Londynu*, który ukazał się nakładem wydawnictwa „Agawa” w 2009 roku.

Tom czwarty opowiadań pt. *Wkrótce nadejdzie świt* ukazał się kilka dni przed jego śmiercią, 14 grudnia 2021 roku, nakładem Oddziału Warszawskiego SPP w Serii II w naszej Kolekcji Literackiej dzięki wsparciu Instytutu Literatury w ramach Tarczy dla Literatów w związku z pandemią wirusową.

W 1972 roku został przyjęty do Związku Literatów Polskich.

W latach 1968-1972 pracował w Londynie, skąd wysyłał do kraju pieniądze na



utrzymanie rodziny. W Australii spędził następne półtora roku. Po powrocie do Polski natrafił na trudności z uzyskaniem stałej pracy i pięć razy otrzymał odmowę wydania paszportu. W latach 1977-1979 pracował w biurze Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. W sierpniu 1979 roku wyjechał z Polski i po spędzeniu kilku miesięcy w Szwecji i Austrii znów znalazł się w Australii. Pracę w firmie „Gordon & Gotch” udało mu się dostać już miesiąc po przyjeździe. Pracował tam do grudnia 1997 roku. W październiku 1998 roku nawiązał współpracę z wychodzącym w Melbourne „Tygodnikiem Polskim” i zamieścił tam ok. 80 tekstów. Początkowo odnosiły się one do stosunków panujących w krajach południowo-wschodniej Azji, a później ich miejsce zajęły teksty poruszające sprawy polskie. Poza artykułami omawiającymi wydarzenia polityczne, opublikował historię miesięcznika „Kultura”, opowieść o perypetiach życiowych Marka Hłaski i Andrzeja Brychta, historię życia Andrzeja Sacharowa oraz artykuł o twórczości i życiu Stefana Kisielewskiego.

Nie zapisał się do rozwiązanego i nowo powstałego w 1983 roku ZLP, natomiast w 2001 roku został przyjęty do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

W późniejszym okresie opublikował około 100 tekstów i wszedł w skład zespołu redakcyjnego „Tygodnika Polskiego”, z którym współpracę zakończył w lutym 2010 roku. W Polsce zamieścił kilka artykułów w tygodniku „Gazeta Polska” i dzienniku „Życie”. W tym ostatnim ukazał się jego artykuł pt. *Nasza mała destabilizacja*, zawierający historię pierwszych czterech lat istnienia „Współczesności”. Tekst ten jest dostępny w Internecie w dwóch częściach pod hasłem *Nasza mała destabilizacja – Andrzej Chłociński*.

* * *

Był osobą uczynną, przyjazną, gotową nieść pomoc. Lubił opowiadać o swoich doświadczeniach.

Debiutował, jak inni, urodzeni na początku lat trzydziestych, w piśmie „Współczesność”, które pomagał założyć i którego był pierwszym sekretarzem redakcji.

Lubił być w środowisku pisarzy i odgrywał w nim często ważną rolę. To on zawiózł Andrzeja Brychta do Kętrzyna, a ten napisał potem słynne opowiadanie *Dancing w kwaterze Hitlera*. To on, jako mąż Gabrieli Obremby, a więc szwagier Sławomira Mrożka, swoim samochodem w czerwcu 1963 zawiózł Mrożka i jego żonę Marę na lotnisko Okęcie, gdy wybrali życie na

Zachodzie. To on pilnował Grochowiaka, aby pismo „Współczesność” się nie posypało.

Chąciński jako twórca znalazł się w cieniu wspaniałych talentów, które ujawniły się po 1956 roku. Pierwszą książkę *Piękne niedziele* wydał trochę późno, w 1965 roku, gdy popaździernikowe otwarcie należało już do przeszłości. Następna, *Pożegnanie z Ireną* opublikował w roku 1971, ale potem nastąpiła bardzo długa przerwa, spowodowana emigracją do Australii. To nie było jednak zawieszenie działalności twórczej, pisywał w tym czasie komentarze polityczne i felietony do polskiej prasy.

Publiczności w Polsce przypomniał się dopiero tomem *Podróż do Londynu*, opublikowanym w 2009 roku przez wydawnictwo „Agawa”, prowadzone przez Marylę i Grzegorza Łatuszyńskich, zmarłych w 2020 roku w trakcie epidemii COVID.

W Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich wiedzieliśmy, że Andrzej Chąciński ma sporo nowych opowiadań. Od pierwszej, autorskiej wersji tekstu do wersji ostatecznej, książkowej – droga bywa długa. Prace nad przygotowaniem książki nie były łatwe, gdyż utrudniał je pogarszający się stan zdrowia Autora.

Kiedy 14 grudnia 2021 nakład zbioru opowiadań *Wkrótce nadejdzie świt*, wraz z innymi pozycjami z serii Kolekcja Literacka, wreszcie przyjechał w paczkach z drukarni, dowiedzieliśmy się od Syna, że Andrzej Chąciński jest w szpitalu, nieprzytomny, a jego stan nie pozwala na przekazanie tej radosnej wiadomości. Zmarł 18 grudnia i nie mógł nawet dotknąć żywą ręką okładki... Nie w pandemii.

Ars longa, vita brevis – mówi starożytna maksyma, której pierwotna grecka wersja przypisywana jest Hipokratesowi z Kos.

Opowieść ta, podzielona na opowiadania, jest z nami. To rozmowa, która wciąż się toczy. List do nas. Dalszy ciąg wspomnień. Andrzej Chąciński był pisarzem, którego najbardziej interesował los człowieka na tle historii – i o tym są w zasadzie wszystkie jego książki, w dużym stopniu autobiograficzne. Czyje dzieje zna się lepiej niż własne? A jednak bohaterowie opowiadań noszą różne imiona, bo nie chodzi tu o dokument, ale o pewien powtarzalny wzór losu.

Od 2018 spotykałam się z Andrzejem Chącińskim często. Pracowałam nad biografią Sławomira Mrożka. Podziwiałam Jego pamięć. I Jego jako człowieka. Nielatwy był Jego los! Usuwany ze stanowisk w PRL, potem emigrant, zarabiający na życie ciężką pracą. Gdy wrócił do Polski, okazało się, że wszystko tu jest inaczej. Koledzy albo już nie żyli, albo się zmienili.

Wyrosły nowe podziały, także tam, gdzie nikt ich się nie spodziewał. Andrzej Chąciński poszukiwał oparcia w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, ale wybuchła pandemia... sytuacja szczególnie trudna dla starszych, zwykle nieuczestniczących w wielu formach aktywności online.

Dobrze, że ta ostatnia książka się ukazała. Nie można z nią było czekać na lepsze czasy.

Mogę też zapowiedzieć w 2022 publikację listu Sławomira Mrożka do Andrzeja Chącińskiego, z moim komentarzem, na łamach dwumiesięcznika „Teksty Drugie”. Wydawnictwo Literackie otrzymało też pełny tekst biografii Mrożka, zapowiada jej publikację jesienią. Postać Andrzeja Chącińskiego pojawi się na kartach tej książki.

Ars longa, vita brevis.

Anna Nasiłowska
Prezes Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Anna Nasiłowska

Pożegnanie

Jacka Durskiego (1943-2021)

Jacek Mirosław Durski (ur. 16 października 1943 w Poznaniu – zm. 30 grudnia 2021 w Sosnowcu) był poetą, prozaikiem, ale z zawodu przede wszystkim artystą malarzem, rzeźbiarzem, plastykiem znanym i docenianym. W 1945 roku zaraz po wojnie, wraz z rodzicami przeprowadził się do Katowic. Zamieszkali w jednej z kamienic przy ulicy Mariackiej (stąd tytuł jednej z jego książek). Do lat dziewięćdziesiątych posiadał pracownię plastyczną. Na ostatnie lata swojego życia przeniósł się do Sosnowca. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, a także Związku Polskich Artystów Plastyków (ZPAP) i International Association of Art. Prace plastyczne prezentował na 37 wystawach indywidualnych w kraju i za granicą, brał udział w 23 wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych. W 1981 roku został zakwalifikowany przez Kunstpodium do pierwszej dziesiątki awangardowych malarzy Europy Wschodniej, dwukrotnie, w latach 1988 i 1998 otrzymał prestiżową Nagrodę Okręgową ZPAP. Jest autorem płaskorzeźby-ołtarza *Poznań 56 – Katowice 81* w Kałkowie oraz współautorem *Prześwitu im. Strzeмиńskiego* w Lublinie.

W 1997 roku na wystawie w Galerii ZPAP Katowice po raz pierwszy pokazał swoje grafiki komputerowe. Przy okazji wystawy wydana została książka *Wśród krzywych luster* – łącząca grafiki z prozą.

Wydał m.in.: *Wśród Krzywych Luster* (scenki teatralne, wyd. ZPAP, 1997 oraz Książnica, 1999), *Mariacka* (powieść, wyd. Książnica, 1999), *Rok* (powieść, wyd. Nowy Świat, 2003), *Wiersze* (interakcja słowa i obrazu, wyd. Nowy Świat, 2004), *Uderza Ziemia* (interakcja sztuk, wyd. Nowy Świat, 2006), *36 bytów* (powieść, Norbertinum, 2014), *Myśli* (Norbertinum, 2017), *Okno. Pierwsza część tryptyku* (powieść, Norbertinum,



2019), *Małgorzata* (dramat, Wydawnictwo AULA, 2020), *Okno. Druga część tryptyku* (powieść, Norbertinum, 2021).

* * *

Jacek Durski był artystą. Totalnym. Żył sztuką, potrzebował podobnych sobie ludzi, a więc na Śląsku i w Zagłębiu znał środowisko plastyków. Gdy pogorszenie się wzroku sprawiło, że uprawianie działalności plastycznej stało się trudniejsze – zaczął pisać. I tak stał się członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

To daje do myślenia: czym jest talent? Skoro da się go przenieść z jednej dziedziny na inną? Może to tylko niepokój i wrażliwość. Jacek miał w sobie niezwykłą otwartość i ciekawość.

Przyjeżdżał z Sosnowca do Warszawy. Pociągami. Tłumaczył, że ze względu na wzrok ma specjalne bilety. Ale przecież nie o to chodziło, lecz znów o możliwość bycia razem, w środowisku artystycznym, wśród ludzi piszących, których kochał i potrzebował.

Jego powieść *Okno* mówi o tej potrzebie kontaktu. Ta powieść – to list, który teraz mówi: nie zapominajmy! Dramat *Małgorzata* pokazuje tragedię naszej epoki, w której nie liczy się człowiek, a wielu jest gotowych za wartość uznać znęcanie się nad nim.

Pamiętam, jak przed moim wyjazdem do Brazylii rozmawiał ze mną o historii jego rodziny. Jednego z przodków los zawiódł do Ameryki Łacińskiej, gdzie stworzył pierwszy elementarz dla polskich dzieci. Zorientowałam się wtedy, że Jacek, czując się artystą nowoczesnym, jest też związany z przeszłością. To się u niego nie wykluczało.

Dzielił się z nami swoją wrażliwością i entuzjazmem. Smutno skończył się rok 2021, smutno zaczyna się 2022. Nie zapominajmy o Jacku! I kochajmy artystów. Straciliśmy jednego z nich, ale jego dzieło zostaje z nami.

Anna Nasiłowska
Prezes Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

POMNIK

Poetów Piewców Powstania Listopadowego

W Warszawskiej Olszynie Grochowskiej przy ul. Traczy znajduje się Aleja Chwały, którą tworzą 33 głązy pomnikowe poświęcone powstaniu listopadowemu. Wśród nich u zbiegu z ul. Szeroką znajduje się ustawiony 26 listopada 2006 r. przez Krąg Pamięci Narodowej i wojewodę mazowieckiego Tomasza Kozińskiego *Pomnik Poetów Piewców Powstania Listopadowego*, który przypomina tak znamienite nazwiska, jak Kazimierz Delavigne, Stefan Garczyński, Konstanty Gaszyński, Adam Mickiewicz, Juliusz Mosen, Aleksander Odojewski, Wincenty Pol, Juliusz Słowacki i Stefan Witwicki. W listopadzie 2021 r. nasze Stowarzyszenie reprezentował kol. Rafał Lasota, którzy przy kamieniu złożył wieniec z szarfą SPP i znicze.

Dziękujemy i o PPPPL pamiętamy!



W sprawie
Muzeum-Pracowni
Józefa Ignacego Kraszewskiego w Poznaniu
List Prezes SPP do władz Poznania

Pan Jacek Jaśkowiak
Prezydent Miasta Poznania

Pan Grzegorz Ganowicz
Przewodniczący Rady Miasta Poznania

Plac Kolegiacki 17, 61-841 Poznań

Szanowni Panowie,

jako autorka wydanej w 2019 roku syntezy „Historia literatury polskiej” chciałabym poprzeć Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego, które jest znajdującym się przy ul. Wronieckiej 14 w Poznaniu oddziałem Muzeum Raczyńskich. W mojej książce poświęciłam tej postaci wiele miejsca, starając się przywrócić mu należną rangę. Idąc za poprzednikami, nazwałam Kraszewskiego jednym z „gigantów i tytanem pracy”.

Jego zasługi były ogromne, jako pisarz stworzył w swoich powieściach skierowany do szerokiej publiczności zarys historii Polski, przedstawiając ją w ten sposób w latach zaborów. Równoległe do tych prac literackich zajmował się badaniami źródłowymi i był wydawcą pamiętników. Dbał o popularyzację, był historykiem i wydawcą, ale był też krytykiem XIX-wiecznego społeczeństwa, którego problemy i sprzeczności widział ostro i opisywał w cyklu utworów chłopskich. Zajmował się społecznością Romów. W powieści „Żyd” pokazywał problemy asymilacji, na jakie napotykają nawet patriotycznie nastawieni przedstawiciele elity.

Józefa Ignacego Kraszewskiego można pod wieloma względami porównać do Balzaca, ale wtedy okaże się, że dorobek francuskiego realisty

nie jest aż tak rozległy, jak polskiego „giganta”. Był społecznikiem, człowiekiem kierującym się szlachetnymi pobudkami wzbogacenia kultury polskiej (także poprzez przekłady arcydzieł) i stworzenia mocnych podstaw wspólnej świadomości historycznej, mimo rozbicia na trzy zabory.

Józef Ignacy Kraszewski musiał opuścić Warszawę przed powstaniem styczniowym. Mieszkając w Dreźnie, był też związany z Poznaniem jako ośrodkiem ważnym dla polskiej książki.

To piękne, że właśnie w Poznaniu znalazł się pasjonat jego twórczości, który przez lata gromadził książki i wszelkie pamiątki dotyczące pisarza. Wspaniały dar pana Mariana Walczaka zasługuje na docenienie. *Pacta sunt servanda* – zobowiązań się dotrzymuje, miasto, przyjmując kolekcję, zobowiązało się do prowadzenia placówki.

Okres ostatnich dwóch lat, naznaczony wieloma ograniczeniami wynikającymi z pandemii, był bardzo trudny dla wszystkich ośrodków kulturalnych. Mamy nadzieję, że odrodzi się ruch turystyczny, że Pracownia Kraszewskiego stanie się jednym z interesujących punktów na kulturalnej mapie miasta, propozycją do zwiedzania i pogłębiania wiedzy, a także miejscem spotkań literackich. Niewielkie muzea biograficzne cieszą się w wielu miastach Europy sporym zainteresowaniem. Swoje miejsce w Paryżu ma Balzac, w Londynie – Dickens, w Warszawie – Władysław Broniewski, albo w Podkowie Leśnej – Jarosław Iwaszkiewicz itd.

Prosimy o docenienie potencjału placówki.

Z poważaniem

prof. dr hab. Anna Nasiłowska
Instytut Badań Literackich PAN
Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Warszawa 23.02.2022

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Dwie rocznice

księdza Wiesława A. Niewęglowskiego



Przygotowujemy ten numer Podglądu, gdy z powodu pandemii, wciąż zagrażającej życiu (także kulturalnemu), jeszcze nie wiemy, czy będą świętowane ważne rocznice. W ubiegłym roku minęło pięćdziesiąt lat od święceń kapłańskich księdza prałata Wiesława Aleksandra Niewęglowskiego, a w tym roku powinniśmy świętować osiemdziesiątą rocznicę urodzin kapłana, członka–założyciela naszej organizacji, autora ponad czterdziestu książek artystycznych i licznych prac mniejszych i rozproszonych, któremu tak wiele Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zawdzięcza.

W dodatku w tym roku wypada rocznica niewesoła – 40 lat od obowiązywania stanu wojennego, a wiele spraw świętych i spraw przyziemnych, a nawet podziemnych się z tym splata.

Jak czytamy w Wikipedii, ksiądz Wiesław urodził się 11 lipca 1941 r. w Zbuczynie. Jest wykładowcą akademickim, poetą, pisarzem, autorem kilkudziesięciu książek; zbiorów poezji, rozważań biblijnych, esejów, refleksji, wspomnień, antologii, publikacji naukowych, teologicznych, historycznych. W latach 1961–1966 studiował na KUL filologię polską, teatrologię, teorię filmu. Pomiędzy rokiem 1966 a 1970 kontynuował naukę w Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie i 24 maja 1970 otrzymał święcenia kapłańskie.

W latach 1974–1982 był duszpasterzem akademickim w kościele św. Anny w Warszawie. Z jego inicjatywy powstały Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej (1975) oraz Duszpasterstwo Środowisk Twórczych (1978).

W latach 1978–2012 ks. Niewęglowski pełnił funkcję Krajowego Duszpasterza Środowisk Twórczych (DŚT). Był inicjatorem budowy kościoła

środowisk twórczych przy pl. Teatralnym, pod wezwaniem św. Brata Alberta – patrona twórców i św. Andrzeja Apostoła – patrona dawnego kościoła, stojącego ongiś w tym miejscu. Do świątyni sprowadził relikwie obu patronów oraz św. Jana Ewangelisty (jego święto 27 grudnia jest też świętem literatów i okazją do wspomnienia zmarłych twórców).

Z inicjatywy ks. Wiesława umieszczono w kościele niekonwencjonalną Drogę Krzyżową, o czym pisaliśmy trzy lata temu w „Podglądzie”. Od konsekracji świątyni w 1999 roku do czasu objęcia funkcji przez księdza Grzegorza Michalczyka w roku 2012 był jej rektorem. Duszpasterstwo przez lata zmieniał miejsce posługi – mieściło się na Przyryнку w parafii Nawiedzenia NMP, w kościele seminaryjnym pw. NMP i św. Józefa Oblubieńca, w którego seminaryjnych salach rodziło się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Szczególnie ważne DŚT było w okresie 1982-1989, kiedy to Duszpasterstwo wprowadzało pewien porządek, a nawet uregulowanie (także wewnętrzne) wśród twórców wstrząśniętych i rozbitych stanem wojennym. Pozwolę sobie na przytoczenie kilku własnych refleksji.

Przez wiele lat do Boga wielu z nas miało daleko. Kościół był instytucją oglądaną tylko z zewnątrz, opinia o nim była pełna stereotypów. Wielu z nas nigdy przedtem nie czuło się wspólnotą.

Zasługą Duszpasterstwa było to, że my tak zwani młodzi, czyli ci, którzy z winy obrotów historii jeszcze nie zdążyli dostać się do „dorosłych” związków twórczych, zbliżyli się do swoich starszych kolegów. Podział na poważnych, pełnoprawnych twórców i „młodych” (nieraz pod czterdziestkę i z kilkoma książkami) może właśnie w środowisku literackim (aż do okresu lat 80.) był dość jaskrawy.

Stałą zasłużoną grupę dopuszczonych do misterium, występującą na wieczorach jednego wiersza w kościele św. Anny, ci młodzi, którzy w ogóle o tych imprezach wiedzieli, oglądali z dystansu. Dopiero prozaiczna praca w piwnicy na Przyryнку przy rozładunku, rozdzielaniu i rozwożeniu darów, a potem, dzięki Duszpasterzowi, który wciągnął młodych do



uczestnictwa w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej, zbliżyła nie tylko mądrych starych i silnych młodych, ale także integrowała różne dziedziny i kręgi twórcze.

Z perspektywy czasu podziwiamy energię, bezinteresowność, ofiarność wielu wspaniałych osób, wielkie cechy również tych, którzy przedwcześnie zeszli z tego świata. Praca przy darach bywała szkołą charakteru, zacieśniały się niemal rodzinne kontakty. Podziwiać należy, jak nasz Duszpasterz radził sobie nie tylko z zagrożeniami stan wojenny, opozycyjnymi spotkaniami, ale i z niepokornymi, niełatwymi charakterami, z ambitnymi i kapryśnymi artystami, których, bywało, i ich krewnych, chrzczył, wiązał sakramentem małżeństwa, z którymi pielgrzymował, żegnał żałobną mszą świętą.

DŚT pozwoliło godnie przeżyć, a nie tylko przetrwać stan wojenny. Rozbudzało, jeśli nie wiarę, to przynajmniej wrażliwość, dawało poprzez sacrum w połączeniu ze sztuką, rzadko dotąd spotykaną głębię przeżyć. Zagadnienia teologiczne, biblijne nie miałyby szansy dotrzeć do wielu z nas, gdyby nie Duszpasterstwo, gdyby Treść nie przybrała odpowiedniej formy...

Dziękujemy! Ad multos annos!

Z bogatego dorobku literackiego ks. Wiesława przypominamy dwa krótkie wiersze, zawsze aktualne. Pochodzą z dwóch antologii, *Powrót aniołów* (Warszawa 2000) i *Kłęcznik ze słów. Modlitewnik poetycki* (Warszawa 2017).

Ks. Wiesław A. Niewęłowski

Izrael

*aniołowie światłości i ciemności od stuleci
 prowadzą tutaj bezustanną bitwę*
*czasami słyhać zawołanie tręb
 odgłos rydwanów pędzących po niebie okrzyki*
*dni miesiące lata pochłaniają
 coraz to nowe ofiary*
*aby przechylić szalę zwycięstwa
 wciągnęli do walki ludzi*
*aniołowie światłości przynoszą im
 dobre natchnienia kawałek nieba łyk miłości*
*aniołowie ciemności rozdają karabiny maszynowe
 bomby domowej roboty bagnety nienawiści*
*rośnie szybciej stos rannych i zabitych
 mówią że ostatnio ludzie przejęli dowództwo*

Litania wątpliwego

*nie pozwól mi roztrzaskać się
 o łóżka białe
 o dzieci na raka chore
 o tysiące oczu które głód wywabił
 o twarze w obłąkaniu
 o modlitwy niewysłuchane o historię ludzką ręką pisaną
 o niewiernych wiernych
 o obozy koncentracyjne i archipelagi
 o mądrość świata
 o niedouczone uczone
 o prostotę Ewangelii
 nie pozwól mi roztrzaskać się o Twoje milczenie*

Boże Narodzenie 2021

hasło: **Nie było miejsca**

Przez cały drugi rok opłakiwaliśmy dalszą czasową utratę wolności poruszania się i bywania z powodu pandemii choroby zwanej COVID-19, a wywoływanej przez koronawirus SARS-CoV-2. Mamy nadzieję, że jesteśmy świadkami końca jednego z najdłuższych trwających kataklizmów medycznych w historii. Dom Literatury w Warszawie już się otworzył – próbujemy odnowić dawny zwyczaj zbierania się i składania sobie życzeń, tym bardziej że zależy nam nie tylko na szczerości koleżeństwa, ale i odświeżaniu więzi. Nasza SPP-owska choinka trwa. Koledzy wygłosili i nadesłali utwory na hasło. Oto one.

Anna Dutka-Mańkowska

Nie było miejsca

nie było już miejsca
ani rezerwacji
ani protektora
był natłok przybyszów
przybyszów czy obcych
była późna pora

niechże sobie idą
niechże sobie radzą
przy innych pomocy
po co patrzeć szerzej
po co patrzeć sercem
szukać gwiazdy w nocy –

Sylvia Gibaszek

* * *

Nie było dla Ciebie miejsca
wszystkie przyszłyśmy
na zamrożone bagna pod sosny
znamy tajne przejścia
między konarami drzew
a parkanem szpitala dla obłąkanych
wiadome tylko miejscowym kobietom
wydrążone tunele
z przeciętymi jak pępowiny zasiekami
solidarne z Tobą
matki
żony kochanki
bezpłodne
z podręcznymi apteczkami
gdzie środki znieczulające
otulimy naszą wspólną niedolą
tak szczerze że nie znajdzie Cię
sam wszechmogący
ostatnio impotent
w sprawach globalnych
dostaniesz kołdry
chustki poduszki
podpaski
zapomniałam
tych ostatnich nie trzeba
Twoje dziecko nie przyjdzie na świat
na śniegu ani mchu
choć nie było dla Ciebie miejsca

w żadnej klinice

może lepiej

taki siarczysty mróz
sople lodu na drodze
uderzają jak kule

Dzieciątko powita świat
bladym świtem
pod osłoną fajerwerków
ołowianej barwy

nocny patrol

eskorta do domu Ani
która jest ginekologiem

gdy będziesz już bezpieczna wewnątrz
spuścimy wszystkie wilczury do lasu
niech biegną w stronę piekła

Piotr Müldner-Nieckowski

Wolne miejsca przy stole wigilijnym

*(okruch z 24 grudnia 1944 roku,
z domu na Powiślu wysadzonego
przez Niemców wraz z żołnierzami AK)*

Przy stole siadło
ośmiu ich krótkie włosy wąsy
i osiem ich warkoczy płochych

a oni ostre noże
a one talerze głębokie
Miały się grzyby i ryby wnieść

Lecz nic nie doszło już nie zjedli nic
a one się nie uśmiechnęły
i nie wypili ani kropli

Rozrywający uszy deszcz
opadających cegieł drzwi
pisali o tym potem nawet niepiśmienni

Nadal co z nimi nie wie nikt
Chleb rozkruszony
przez dźwięk potężny w pył

i dech zasnuty rozgrzytnięciem szyb
zatarciem pamięci gubi sens
Już tylko Bóg ich słyszy-widzi

tak szybko przysło to czym byli
zostało po nich tyle miejsc
na dzień przed Boga przyjściem

Warszawa 2018

Alicja Patey-Grabowska

Nie ma miejsca dla takich

Nie ma miejsca
przy stole
Już zapelnione!
Przez młodych
radosnych
bogatych

A ty
ubogi
chory
i stary

Nie ma miejsca dla takich!

Po co ranić sumienie
i zaciemniać gwiazdy
twoim mrocznym
widokiem

Nie ma miejsca
dla takich
przy biesiadnym
świętecznym stole!

Maria Jolanta Piasecka

Dzielić się już nie dajmy

(kolęda)

Święto – nie ma święta
W biegu wskoczę w podróż w noc
Wigilia – nie ma wigilii
Jeden bezpowrotny tor
Matka – nie ma matki
Gdzieś na zdjęciu matki twarz
Ojciec – nie ma ojca
Kiedy był ostatni raz?

Siądźmy wszyscy razem
Zaśpiewajmy „Cichą noc”
Ręce sobie podajmy
Światło serca da nam moc
Dzielić już się nie dajmy
Kto przyjaciel a kto wróg
Wszystkim drzwi otwierajmy
Żeby się narodził Bóg

Opłatek – nie ma opłatka
 W ustach szron, braknie tchu
 Prezenty – nie ma prezentów
 Szklankę wódki wicher stłukł
 Choinka – nie ma choinki
 Wokół tylko martwy las
 Brakło miejsca przy stole
 Ktoś mnie woła? Jeszcze czas...

Siądźmy wszyscy razem
 Zaśpiewajmy „Cichą noc”
 Ręce sobie podajmy
 Światło serca da nam moc
 Dzielić już się nie dajmy
 Kto przyjaciel a kto wróg
 Wszystkim drzwi otwierajmy
 Żeby się narodził Bóg

Krzysztof Saturnin Schreyer

Kto otworzy...?

Stół wigilijny z drewna,
 a w sercach stołów miliony,
 a każdy jest zastawiony
 i płynie kolęda rzewna.

Przy stole jest miejsce puste
 dla zbłąkanego wędrowca,
 aby na ziemi mu obcej
 mógł zwilżyć spragnione usta.

Staje wędrowiec przed drzwiami
 i puka, ale na marne,

no bo policzki ma czarne,
jakże świętować ma z nami?

Z rodziną ktoś puka wytrwale,
lecz żona nosi zasłonę,
a to jest niedozwolone.
Za dużo was – idźcie dalej.

Puka wędrowiec w łachmanach,
wiemy, robaki przynosi,
jego nie można zaprosić.
Rzecz ta powszechnie jest znana.

Przychodzi wędrowiec niewinny.
Choć dobrym jest rzemieślnikiem
nieznanym włada językiem
i za nim mogą przyjść inni!

Przez wieki obcy zagrażał,
a przed nim silna obrona
to rzecz wprost nieunikniona.
Kto będzie tę prawdę podważał?

Przychodzi Ten umęczony,
który przed Ponckim Piłatem
mówił: Mam władzę nad światem,
wskażę, kto będzie zbawiony.

Powiada, że bliźni to On,
a kto pokrzywdzi bliźniego
to krzywdę wyrządza Jemu.
Czy ktoś otworzy mu dom?

11 XII 2021

Małgorzata Strękowska-Zaremba

* * *

Zaprzeczam jakoby pukali do drzwi mojej gospody
 Zaprzeczam jakoby nie było dla nich miejsca
 Zaprzeczam jakoby kobieta była brzemienna
 Zaprzeczam jakoby urodziła w grocie syna
 Zaprzeczam jakoby był to syn Boży
 Zaprzeczam jakoby położyła go w żłobie
 Zaprzeczam jakoby pierwsi witali go pasterze
 Nie przeczę, że widziałem gwiazdę nad grota
 To jednak nic nie znaczy

Grzegorz Walczak

Muzyka: Zbigniew Namysłowski

A kiedy zmierzchu pora nastanie *(pastorałka)*

A kiedy zmierzchu pora nastanie,
 usłyszysz jakby czyjeś wołanie
 i spadną z nieba dzwonkami ciszy
 przed naszym progiem senne śnieżynki.
 To sieje noc przez niebieskie sito
 mannę z nieba w Nowy Rok.

Klękajcie bracia, klękajcie razem,
 potem usiądźcie za moim stołem.
 Dam wam łakoci pełną kobiałkę.
 Pójdziemy zbierać chrust na podpałkę.
 Siac będzie noc przez niebieskie sito
 mannę z nieba w Nowy Rok

Gdy noc się pali, ludziom przytomnym
coś ćwierknie w głowie i się przypomni.
Może jaskółka skąpana w świetle,
a może pięknie prześnione życie.
Przesieje noc przez niebieskie sito
Mannę z nieba w Nowy Rok.

Klękajcie bracia, klękajcie społeczem,
potem usiądźcie za moim stołem.
Dam wam łakoci pełną kobiałkę.
Pójdziemy zbierać chrust na podpałkę.
Siać będzie noc przez niebieskie sito
mannę z nieba w Nowy Rok

Już idą moi goście z daleka,
a każdy niesie to, na co czekam.
Muzyka leśna w progu z nich taje,
muzyka polna pachnie już majem.
To sieje noc przez niebieskie sito
mannę z nieba w Nowy Rok.

Piotr Wojciechowski

Wół, osioł i gwiazda

(*Na Wigilię 2021*)

Na dworze wicher niesie zimny piach pustyni
Tu ciepło, śpi Niemowlę. Twardy żłób w jaskini
Sianko i płaszcz matczyzny grzeją, oddech miły
Dwu zwierząt. Osioł prawi wołowi nowiny.
Ty, wole, nawet nie wiesz, kto w twej stajni stanął.
A mnie Anioł powiedział. Jahwe z Matką Panną.
Stworzyciel się urodził, bo chciał być stworzeniem.

Jak zdrowo nam urośnie, cały świat odmieni.
Rzecz pewna, Anioł mówił.

Wół trzęsie łbem rogatym.
Jakże to – świat poprawi? I ludzi? – jestem za tym.
Pewnie skończy z korridą, z głodem, wrzaskiem, batem.
Tu osioł się przechwala – od Nazaretu drogą
Dźwigałem Ją ostrożnie – lekko, noga za nogą
Bo czułem, że ta podróż gdzieś idzie w dziwne światła
I brzemię mam cenniejsze od skarbów tego świata.
Teraz ci wierzę, ośle – muczy wół zamyślony.
Bo cudy zawitały w betlejemske strony.
Nie zliczyłem pasterzy, bo wół liczyć nie umie,
Ale widziałem dary i radość w owym tłumie.
Cichną anielskie śpiewy, od pustyni wieje,
Ale została gwiazda. – My wpisani w dzieje.
Ja z wołem, gwiazda także. O nas pieśń ułożą
Ludzkie psalmy radosne. Wszystko na cześć Bożą.
Wspomną nas w czasie lęku, w taką smutków porę,
Że trzeba z siłą wołu, a z ósłim uporem
Głosić chwałę Dzieciątka. Co dzień, każdym tchnieniem
Dawać ciepło, tak pokój głosić i zbawienie.

Olga Wójcik

Nie było miejsca

Piszę ten list z bardzo daleka
Piszę do Ciebie
bo nieustannie dławi mnie myśl
gdy widzę stąd
jak Ci ciężko
I to jest mój czyściec:
Idą obrazy
– płaczesz ocierasz łzę krzyczysz
Taki niekończący się kalejdoskop

Gdy żyłem
mało było miejsca dla Ciebie
w moim życiu
Listy nienapisane
wsuwałaś przez szparę
pod drzwiami mojego gabinetu

Spragniony jestem
Twojej modlitwy

Przebacz mi do ostatniej łzy
A poczuję ulgę
I wiem że będzie ona
bramą do modlitwy
Mojej – za Ciebie



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jerzy Binkowski

Irena Słomińska: *Pocałunki*¹

A pocałunki? To tylko liście drzewa!

Szum liści – czuły, ciepły i głęboki – zaczyna się swawolnym pocałunkiem wiatru. Czy właśnie tak rodzi się miłość? Jak liście ożywiają drzewo, podtrzymują życie, tak pocałunek rozpala duszę i pomaga przekroczyć wszelkie granice jawy, snu i rzeczywistości. Pocałunek jest ogrodem. Dotlenia, rozświeśla. Łączy, gdy jest pieśczęcią i niszczy, gdy jest zdradą.

Widok liści zżartych przez *chrabąszcze majowe* zapowiada nadchodzącą śmierć potężnego dębu. Drzewo latami umiera bez liści. Umiera też człowiek latami bez pocałunku, gdy odmienia swoje oblicze poprzez wygaszanie światła w sobie.

Pocałunki

*Szum liści – swawolne pocałunki wiatru.
Czułe, ciepłe, głębokie.
Bo wiatr dzisiaj łagodnie wieje, pieści
kochankę – przyrodę, a w niej – mnie.
Kiedy wzrasta jego namiętność aż do stanu wrzenia
w kotle świata i nadchodzą burze, miłość zmienia się
w nienawiść, niszczy to, co przedtem ukochała.
Jak ludzie, wiatr gotów jest odmieniać oblicze.
A pocałunki? Ciało brzemiennej matki całuje swój płód.
Ciało kobiety skórą przenika w ciało mężczyzny.
Zgłębia je, by poznać, aż do zaspokojenia pragnień.
Wyłonienia się iskry, która zapali duszę – lampę
Aladyna.
A pocałunki lecą dalej – w przestrzeń międzyludzką,
w przestrzeń świata. Przekraczają wszelkie granice:
jawy, snu, rzeczywistości.
Łączą i dzielą.*

1 Irena Słomińska, *Pocałunki*, Wydawca Druk-24h.com.pl, Białystok 2021, ss. 48.

*Często niejednoznaczne.
A pocałunki? To tylko liście drzewa.
Rodzisz je w sobie. Magiczne latarnie.
Ze wspomnień: zgrzeszyłam, kiedy skłamałam
swój pocałunek.*

Jej kobiecość to ptak zamknięty w lekkości i barwie. Kobieta nie zapomina, jak być Kobietą. Wie, że nie trzeba skrywać wdzięku, który jest darem Natury a może Boga? Wdźwięk jest okładką tajemniczej książki, kruchą i jedyną.

Zapamiętaj, Mężu, mnie odświętną, gdy mi zabiją dzwony. Na stronie z wierszem o miłości otworzyłam się dla Ciebie. Pamiętaj!

Pamięć

*Apaszka – mój kolorowy sztandar na wiatr,
owijam ją swoją kobiecość, by pofrunąć – ptak
zamknięty w lekkości i barwie. Stroszy pióra
jak wdźwięk, poddając się osądowi świata.*

*Podarowana mi moja swoistość jak oprawa
książki. Cenna, bo krucha. Jedyna,
choć powtarzalna.
Zapomniałam, jak być kobietą. Teraz
zmieniam upierzenie po to, byś mnie dostrzegł.
Po to, byś mnie zapamiętał odświętną.
Po to, by zażyły nam dzwony.
Otworzyłam się na stronie z wierszem o miłości,
która poprzedza zasuszony kwiat.
Pamięć.*

Ja

*Zamrożona porcja chleba. Na zaś.
Na to jutro, kiedy nie wyjdę do sklepu.
Może chora, może zniechęcona, niepewna,*

*czy pokonam schody.
 Ciągły stan zagrożenia. Niepewność to sens
 życia.
 Muszę jeść. By nie wymknąć się z ciała
 po angielsku. Cicho, szeptem.
 Porzucić swój karnawał.
 Swój bal.
 Swoje ukochanie. Książkę otwierającą mnie.
 Strona po stronie.
 Moje ukochane wiersze – kolekcję kryształów.
 Stalaktyty i stalagmity wewnętrznej jaskini.
 Ja, człowiek współcześnie pierwotny.
 Stara kobieta,
 co wciąż jeszcze wysiadauje życie.*

Najpiękniejsze jest, że konsekwentnie, w całej książce odnajduję fascynującą myśl – KOBIECĘ, która nie chowa się za żaden „krzak”, za którym skrywali się w Raju – Ewa i Adam. Pamięta namiętność – młodość nie zawsze „mądrą”, gdyż do mądrości potrzebne były ły.

W moim krajobrazie czytelniczym Irena Słonimska jest jedyną poetką o tak klarownym i jasnym wkomponowaniu głębokiej refleksji pełnej kryształicznych łez, których nagromadzenie jest mądrością – jasnym podsumowaniem życia. Łzy, które nie tylko są kolia perł na dumnej piersi, ale są KORONĄ lśniąca i olśniewająca życie. W wierszach odnajduję osobę, która nadaje dodatkowy sens „miastu”, miejscu – to mąż.

Poetka cudownie wyniosła męża do wysokości latarni (przy której bywa najciemniej), ale bez której może i nie byłoby warto żyć? Wspaniała nobilitacja miłości małżeńskiej. Ireny nie można oddzielić od Kazimierza, a Kazimierza od Ireny. Nie wypieraj się tego małżeńskiego pocałunku, Poetko. Zgrzeszyłyabyś, gdybyś skłamała ten pocałunek.

Jerzy Binkowski

Adam W. Kulik

Elegia przeplatana śmiechem

Leszek Długosz pochodzi z Zaklikowa. Dla mnie w jakiś sposób jest tyleż krakowski, co lubelski. Jeśli w ogóle można tak powiedzieć o poecie, przed którym świat otworzył podwoje. Z upodobaniem wraca do Lublina, Kazimierza czy Nałęczowa śpiewać nam a muzom. Jakiś czas temu ukazała się jego księga wspomnień, *Pod Baranami ten szczęśny czas...*, książka wyjątkowa, nostalgiczna, wzruszająca, bardzo starannie i ze smakiem wydana. Przy zakładaniu „nowych”, plebejskich elitek, działająca wręcz jak odtrutka. Do mnie trafiła okrężną drogą, późno, czytałem powoli, smakując czas miniony. Paralelnie w trakcie lektury „dotyk wzruszenia” objął i lata własnej młodości w Lublinie.

Autor

Leszek Długosz swój książkowy „zryw pamięci” zaczyna w listopadzie 1964 roku, kiedy zadebiutował w krakowskiej Piwnicy pod Baranami, śpiewając własny, pachnący Leśmianem wiersz *Leśna pasterka*. Swoją opowieść prowadzi konsekwentnie do jesieni 1978 roku, kiedy pożegnał się z Piwnicą z powodu „zastoiny”, jaka nad nią zawisła, ale też z racji własnych ambicji i planów. Książkę napisał na 50-lecie założenia kabaretu i 10-lecie „przeprowadzki” Piotra Skrzyneckiego i Janiny Garyckiej, dwojga ludzi, którzy mieli decydujący wpływ na powstanie i jakość tego jednego w swoim rodzaju zjawiska, jakim była Piwnica, w skoŹnionym partyjną dezynwolturą gomułkowskiego, a potem gierkowskiego, PRL-u. To wszystko rzutuje na nastrój książki. Nie jest to jednak rocznicowa laurka ani ckiwie wspomnianie kumpli od nocnych biesiad. Oto jedna z czołowych osobowości piwnicznych, w jej (piwnicznym), najlepszym artystycznie czasie, kreśli uczciwy wizerunek grupy wybitnych twórców, owe „prawdziwe obrazy nas, z prawdziwych tamtych chwil”, którzy potrafili się skrzyknąć i przez kilkanaście lat promieniować na cały kraj fluidami normalności w skończenie anormalnym świecie. Fluidami opakowanymi w najwyższą jakość artystyczną. Dzisiaj wydaje się, że to niewiele. Spróbujcie jednak zapytać więźnia odsiadującego bezterminowy wyrok, co dla niego znaczą 3

godziny (tyle mniej więcej trwał spektakl) normalnego życia poza murami więzienia, na normalnej, ustrojonej knajpkami ulicy, wśród normalnych, zadowolonych z życia ludzi.

Rzecz jest niezwykle opowieścią z pierwszej ręki, kreśloną przez niezwykle wrażliwego człowieka i wybitnego w swoim emploi artystę, zanurzonego w „piwniczne życie” po uszy. Trafił tam, będąc po dwudziestce, Piotr Skrzynecki zaliczył już trzydziestkę. Dystans wiekowy nie był na tyle duży, by nie być dopuszczonym do piwnicznych tajemnic: został nie tylko „półprezydentem” w mieszkaniu Piotra i Janiny, ale – jak dowcipnie zaznacza – należał do „ściślej egzekutywy” kabaretu. Chwilami jest to opowieść bardzo osobista, na granicy intymnych zwierzeń, kiedy indziej, jak rasowy opowiadacz, bierze czytelnika za rękę, podsuwając mu i komentując co smaczniejsze kąski. Nie stroni przy tym od uszczypliwości wobec przyjaciół, nie podbarwia prawdy, cieniuje ją zawsze z klasą. To sztuka: bryznąć komuś w oczy prawdą, przyszpilić go, ale tak, by nie czuł się upokorzony, wyszydzony. Sztuka i odwaga, bo dzisiaj każdy obraża się o byle co i leci do sądu, nawet jeśli wszyscy wiedzą, że nie ma racji.

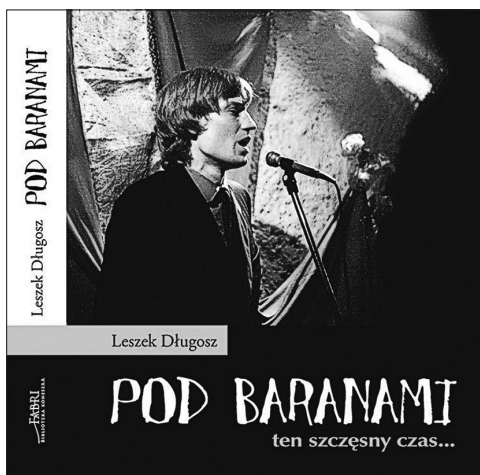
„Lata wzlotu”

Początek Piwnicy to maj 1956 roku. Wówczas grupa kabareciarzy przynosi się z Jamy Michalika do piwnicy Pałacu pod Baranami, jako – uważa – klub dyskusyjny Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Takie były czasy i taka potrzeba kamuflażu wobec wszechwładzy i wszechubeckiej wiedzy „naszej partii”, proszę szanownej młodzieży. Dzisiaj, kiedy można robić wszystko, blisko 40-milionowy kraj stać na prymitywne, prostackie wygłupy, serwowane od rana

Leszek Długosz
Pod Baranami ten szczęśny czas...

Fabri. Biblioteka Konesera
Kraków 2014

Stron 316. Oprawa twarda
ISBN 978-83-928045-9-0



do wieczora w telewizji jako programy kabaretowe. Wielokrotnie pada w książce sformułowanie, że czas od połowy lat 60. do końca 70. XX wieku to okres w historii piwnicznej najciekawszy pod względem artystycznym. Owe lata wzlotu tworzą Wiesław Dymny, Ewa Demarczyk, Zygmunt Konieczny, Krzysztof Litwin, Władysław Hasior (sztandary, rzeźby, obiekty), kompozytor Andrzej Zarycki (*Pieśń o narodzinach Bolesława Krzywoustego, Skrzypek Herzowicz*), znani i cenieni scenografowie: Krystyna Zachwatowicz, Lidia i Jerzy Skarżyńscy, Mariusz Chwedczuk z żoną Xymeną Zaniewską, Kazimierz Wiśniak (ten od Swinarskiego); nie możemy, oczywiście, zapomnieć o Leszku Długoszu. „Opiniotwórcza piwniczna lista” to z kolei Jerzy Turowicz, Sławomir Mrożek, Marian Eile, Marek Rostkowski – syn młodopolskiego dramaturga Karola Huberta, dyrektor Muzeum Czartoryskich, literat Stanisław Czycz, oczywiście Janina Garycka, Halina Mortkowicz-Olczakowa, córka Jakuba Mortkowicza, zasłużonego przed wojną wydawcy, oraz jego wnuczka Joanna Olczak-Zimmerer. Do tej listy można dopisać Jana Nowickiego. Wcześniej tekstów dostarczał Andrzej Bursa, później Tadeusz Śliwiak – dobry, szkoda, że nieco zapomniany poeta. Jak się tych ludzi, tyle tak różnych osobowości artystycznych, udało zaprząć do wspólnej roboty, pozostaje tajemnicą Piotra Skrzyneckiego. Ten zestaw nazwisk musiał eksplodować sukcesem. Nic dziwnego, że na programy Piwnicy ludzie rezerwowali bilety z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. A do lokalu na kilkadziesiąt miejsc, gdzie podczas spektaklu upychano nawet dwieście osób, zjeżdżała cała Polska.

„Sztuka uwodzenia”

Sporo miejsca w książce autor poświęcił procesowi tworzenia, przygotowania programu, poczynszu od pozyskiwania tekstów po końcowe detale techniczne dotyczące wykonawstwa. Teksty spływały dosłownie zewsząd, brano je od znakomitych nazwisk, ale także i ze śmietnika, z owego „zbioru bzdur” (ogłoszenia, zażalenia, donosy). Skrupulatność autora *Baranów...* jest tego rodzaju, że pamięta nawet o pani Feli, szatniarce Domu Kultury pod Baranami, urzędującej tuż obok popiersia Lenina, które ktoś obdarzył „niewymawialnym napisem”. Pani Fela – nie do przecenienia jako punkt, skrzynka kontaktowa. Mamy też informacje o kawiarni, o wdzięcznej nazwie Kolorowa, gdzie odbywały się „dyskusje, niemal codzienne konferencje”, podczas których analizowano teksty pod kątem wykorzystania, ale też korespondencję przychodzącą do Piwnicy, „rozmaite entuzjazmy,

wariactwa, inwektywy, prośby, jęki”. Śledzimy pierwsze rozmowy i opinie, wstępne przymiarki, aż po szczegóły techniczne („Czy Danusia Kluzowa ma śpiewać romanse przy wygaszonych światłach?” Czy też nie?). Wachlarz nieustannych napięć, wątpliwości, przymiarek, taksowania pomysłów. Schodzimy do samego centrum piwnicznych zdarzeń, zagłębiając się w specyficzną, artystowską atmosferę tamtych lat. Leszek Długosz umie o tym barwnie opowiadać. Ma przy tym doskonałą pamięć (notatki, refleksje spisywane na gorąco? Gromadzone na taką właśnie okazję?). Przytacza dziesiątki opinii, rozmów z Piotrem Skrzyneckim, bezbłędnie oddając jego charakterystyczny język („Ja bym cię widział od razu jako Hamleta. Nerwowy, jasny, spojrzenie narkomana. Nadawałbyś się”). Mnóstwo tu anegdot, ulotnych zdarzeń, dyskusji np. w „okrągłaku”, gdzie piło się piwo podgrzewane w czajniku, zupełnie jak za moich uczniowskich czasów na rynku w Tomaszowie Lubelskim. Taka była Polska Gomułki.

Nie mogło się obejść, oczywiście, bez obgadywania znajomych, kolegów, czasem z ostrą podmalówką, ale zawsze z sympatią, aprobatą. – *Powiadam ci, kurwa tego się trzymaj. [...] ...to jest kurwa czyste i piękne. Tego się trzymaj. Chujozza rozmaita może ci zarzucać, drwić, że to nie dzisiejsze, nie nowoczesne. Pieprz i nie słuchaj. Lej, Lechu, na to. To właśnie jest odrębne, twoje.* Przytoczony monolog Staszka Czyczka napisany okrągłymi słowami, wypreparowany, nic by nam o jego autorze nie mówił.

Przepis na dobry program, okazuje się, był bardzo prosty: „brało się z literatury, choćby i od bardzo znanych autorów, z terenów i ze stron, po których przechodziły już rzesze czytelników. Zaśpiewane, uteatralnione, zestawione z nieoczekiwanym kontekstem, zyskiwało nową jakość, o jakiej wcześniej nikt nie pomyślał”. „Humor i nostalgia, sugestia i milczenie... [...] ukierunkowane milczenie jako środek wyrazu”. „Po numerach solowych [...] działania zbiorowe; gadanie, ruch, okrzyki. Wszystkich przez wszystkich, ponad wszystkimi. Zamęt. Chaos symultanicznych, często *rozczłonkowujących się* działań, nakładających się napięć i wrażeń”.

Proste? Tak miało wyglądać i od widowni wyglądało: swoboda, improwizacja, jazda od niechcenia – jakby Konstanty Andrzej Kulka ot tak sobie grał karkołomne utwory Karola Lipińskiego, jeszcze teraz, po 150 latach budzące strach u wielu skrzypków. Nic z tych rojeń. Piotr Skrzynecki bardzo solidnie przygotowywał się do każdego programu. Nawet, zdawałoby się, oczywisty z wielu względów konferansjerski komentarz występu Ewy Demarczyk był rzucany na papier. Niewiele miejsca zostawiano przypadkowi. Za każdym programem szła rzetelna, profesjonalna robota reżyserska,

bazująca na setkach rozmów, konsultacji, propozycji. Cała sztuka uwodzenia...

„Niebawem zaczęło się umieranie...”

W moim odczuciu najlepszymi partiami książki nie są strony poświęcone bezpośrednio Piwnicy, jej historii, programom, chociaż trudno tu się do czegokolwiek przyczepić. Ale te napisane jakby na marginesie, traktujące o uczuciach, wzajemnym szacunku ludzi, których scalała, połączyła Piwnica. Dawno odpuściłem sobie literackie szaleństwa i zachwyty awangardą, fajerwerkami pomysłów, wirtuozerią formy. Dzisiaj w książkach tropię autora. Interesuje mnie, kim jest: błaznem, filozofem? Dupkiem z profesorskim tytułem czy przyzwoitym człowiekiem? Kabotyńcem pajacującym na wielkość czy wrażliwcem, osaczonym przez skundloną teraźniejszość, z troskanym o los ludzi uznających te same, co on, wartości? Leszek Długosz w moim rankingu wypada bardzo przyzwoicie. Ma strony, które chciałby mieć każdy pisarz. Duże wrażenie zrobił na mnie rozdział poświęcony Hannie Mortkowicz-Olczakowej, a tak naprawdę świadomym szykowaniu się na ostatnią drogę i odejściu trzech kobiet, mieszkających na tym samym piętrze, u literatów na Krupniczej, bardzo blisko z sobą związanych: „pani Hani”, Halinie Poświatowskiej i Annie Brzozowskiej. Nie mogę nie zacytować opisu ostatniego pożegnania, kiedy Hanna Mortkowicz udawała się do szpitala. „Byłem najbliżej tego żegnania się. W progu objęły się jeszcze raz. Parę konwencjonalnych porad, pocieszeń, ale na końcu, do stojącej już w otwartych drzwiach pani Hani, pani Brzozowska zmienionym głosem jeszcze powiedziała: – Dziękuję ci, Haniu, za przyjaźń. Coś najprostszego. I wtedy coś tak przejmującego. Miałem poczucie wyjątkowości momentu. Jego wzniosłości. Widziałem i wiedziałem, że na zawsze żegnają się dwie kobiety, przez tyle lat sobie bliskie. Z których jedna była córką Stanisława Brzozowskiego i miała niebawem nie podnieść się już ze swego *Parkinsona*, druga była córką Jakuba Mortkowicza i cała dla niej ziemską reszta miała nie potrwać dłużej jak jeszcze ten tydzień”.

Takich stron jest wiele. Okazuje się, że nawet w skundlonym czasie – czasie odwróconych ról (kabaret zamiast sejmku, oracje do pustych krzeseł, kabaretowe popisy posła Niesiołowskiego z wyłączaniem mikrofonu itd., itd.), czasie nijaczenia własnego narodu przez jego przedstawicieli, rozpętanej nienawiści na niespotykaną skalę przez rządzącą „partię miłości”, ludzie, gdzieś na boku, w prywatnym życiu, zachowali przyzwoitość,

szacunek dla innych. Funkcjonują z godnością, z życzliwością wobec siebie. Prezentują na co dzień coś, co wydaje się już nierealne, nie z tego świata – człowieczeństwo, humanizm, godność. Z kart książki napisanej przecież przez poetę kabareciarza – choćby tylko z racji występowania w Piwnicy – idzie mimowolne przesłanie: nie dajmy się zwariować politycznym nuworyszom, plebejskim elitom, można normalnie, po bożemu i po ludzku. I wcale nie będzie nudno! Może tak to odbieram, bo pamiętam tamten czas, uczyli mnie jeszcze przedwojenni nauczyciele. W tamtym czasie inteligent nie był oberwańcem w wyświechtanej marynareczce z lumpeksu, który wyklada pokój czymś tak bezwartościowym jak książki. Z którego się drwi. To był ktoś, kto wiedział! I wiedział, co to godność. I przez to, że wiedział, i prezentował to swoją postawą, był godzien szacunku. Jestem Leszkowi Długoszowi wdzięczny, że mi tak po prostu, bezpretensjonalnie, o jakości tamtych ludzi, ich duchowym wymiarze, przypomniał.

Portrety

Nie wiem, na ile to sprawa świadomości i warsztatu literackiego, a na ile pochodzi – jak powiedział Brodski – od Boga; autor *Pod Baranami...* potrafi w kilku zdaniach zapisać czyjeś życie. Zrobić portret będący samą esencją, skończoną syntezą. Nie każdy to ma. Wyłuskiwałem te perełki skwapliwie, trochę mając mu za złe, że jeszcze dopowiada, pisze dalej, jakby nie mógł się rozstać z ludźmi, o których opowiada. Oto kilka oryginalnych próbek.

Janina Garycka

„Janina oddała Piwnicy właściwie wszystko. Czas, ambicje, dom, swoje miejsce na ziemi. Możliwości wszelkie, które gdyby się zebrała, mogłyby zaowocować ciekawą twórczością literacką czy malarską? Może też naukową karierą akademicką?”.

Ewa Demarczyk

„Siła, skupienie, jakaś wrażliwość wręcz desperacka. Dynamit.”. „Zaczęła od repertuaru Koniecznego. Od propozycji maksymalnych. Najbardziej trudnych, efektownych, jednocześnie najbardziej wartościowych.”. „W każdym programie miała bardzo mocne punkty. Gwoździe, bomby, torpedy, korby!” „W oderwaniu od programów i warunków maleńkiej tej scenki,

bez Piwnicy, Ewa słabła. Zostawiona sama sobie, wpadła w pewnego rodzaju schematyzm. Bała się zmian, podjęcia jakiegoś ryzyka artystycznego. Nie przyjęła żadnej propozycji ani innego wyzwania”.

Wiesław Dymny

„Był człowiekiem skłębionym, gwałtownym, gorącym i nieprzewidywalnym. Cały czas kotłował się w nim splot skrajnych emocji: od żarliwości, furii, agresji po liryzm i dziecięcą niemal tkliwość. Niesłychanie zambi-cjowany, we wszystkim musiał być najlepszy. [...] Spośród ludzi, których poznałem, właściwie on mógłby stworzyć rzeczy znaczące, wybitne. Zabrakło na to czasu. Umarł w wieku 42 lat”. „Jego niewyczerpana inwencja, talenty stylizacyjne, śmiałość wyobraźni, witalność jego, wręcz zuchwałość w podejmowaniu zadań i realizowaniu ich wyzwalały kreatywność niespotykaną. W dodatku ta łatwość!”.

To tylko kilka próbek. Celowo nie przytaczam „zakamuflowanej biografii”, znakomitego portretu Piotra Skrzyneckiego („ile musiało się skrywać w nim obaw, niepewności, jakich obolałości, sekretnych przyczyn, żeby się tak zamotać i okopać?”), który stworzył „coś trudniejszego niż dzieło, stworzył styl”, i wielu innych znakomicie scharakteryzowanych osób. Kto chce je poznać, nich sięgnie po książkę.

„Kolacja z konfidentem”

Piwnicę pod Baranami tworzyła zgrana paczka wybitnych osobowości, a jednak i tam sowiecka mentalność, przeflancowana w polskie warunki, znalazła swojego degenerata, gotowego donosić. Degenerata albo człowieka skończenie nieszczęśliwego, zaszczutego, osaczonego i zmuszonego do współpracy. Tego nie wiemy. „Nasze” wpływowe elitki, mające sporo na sumieniu, nie dopuściły do lustracji, nie pozwoliły współpracownikom SB opowiedzieć nam, o co tak naprawdę chodziło w tej współpracy albo i „współpracy”. Nie może się też od tego uwolnić i Długosz: „Donosy tkane gorliwie. Po skończonej podróży, po bankiecie, po programie, popijawie... Niezwłocznie, po wcześniejszym opuszczeniu stolika, przy którym *po przyjacielsku* rzeczywistość komentowano. Skrupulatnie, metodycznie słane raporty, sugestie, podpowiedzi, zalecenia... [...] Opłacane, kwitowane własnym podpisem!”.

Gorliwym obrońcą piwnicznych donosicieli (a) okazuje się ktoś z grona samych artystów. Zaskakujące, bowiem to stamtąd powinien pójść pierwszy sygnał potępienia za nielojalność, zdradę. Widać niektórym dobrze w smrodku. „Krystyna Zachwatowicz jest osobą nadal mocno zaangażowaną w pilnowanie dobrego gustu, poprawności politycznej w skali nie tylko polskiej, ale i bardziej ogólnej – pisze poeta. Uzyskała wiele honorów, tytułów, rozmaitych nagród, zaszczytnych medali. [...] Zastanawiam się, czy przysłuchując się rozmaitym jej zaangażowanym deklaracjom, czytając w jej liście otwartym, wyrażane poniekąd w jego [Piotra Skrzyneckiego] imieniu, unieważnienia, lekceważenie określonych postaw z przeszłości, w tym także z przeszłości agenturalnej w kręgu Piwnicy, czy machnąłby na to ręką? [...] Nie sadzę jednak, żeby tak całkiem wyparowała z pamięci Piotra ta upokarzająca, drastyczna sytuacja z lat osiemdziesiątych, kiedy zatrzymanego na posterunku milicji zmuszono go do rozebrania się do naga i pobito brutalnie. [...] Na konto tych *okropnych czasów* i powszechnego pokalania tak lekko scedować kłamstwo, latami opłacaną zdradę? Nie usłyszawszy choćby próby wyjaśnienia, nie wspominając o ekspiacji. Zachodzę w głowę i nie pojmuję tamtej Krysi, Krystyny z Piwnicy, z tamtych lat”.

No właśnie: skąd ta pycha u pani scenograf? Skąd bierze się pycha, która każe poprawiać Biblię i przekreślać tysiące lat cywilizacji, które wypracowały nasze normy moralne? Nie zastanawia jej szybka śmierć kolegi, Wiesława Dymnego, szykanowanego przez SB? Ani, wczoraj, wicepremiera polskiego rządu? I generała Petelickiego też nie? Jaki szczęśliwy świat potrafili sobie niektórzy uwić w samym środku piekła.

„Teatr wspominania”

W książce zdarzają się powtórzenia, niektórym może nie podobać się nadmierna egzaltacja języka pewnych jej fragmentów lub charakterystyczna dla poety składnia. Długosz pisze tak, jak mówi, i kazać mu pisać spreparowanym językiem literackim to nonsens. Albo chce się posmakować Piwnicy z jej niuansami, albo nie. We wspomnieniach powtórzenia też nie rażą tak jak w prozie kreacyjnej. O wiele ważniejsza jest szczerość autora, przywiązanie do faktów, nawet niewiele znaczących detali, odprysków pamięci, które każą pamiętać nie tylko o postaciach głównego nurtu, ale i o „zaczarowanym dorożkarzu”, kiełbasie „niebotyczności smakowej” czy akustykach Kawalcach, dla których zostawia „zasłużony ślad

wdzięczności”. Te drobiazgi robią klimat książki, lecz przede wszystkim ją uwiarygodniają. Kto czytuje tego typu literaturę doskonale wie, ile w niej potrafi być fantazji, upiększania, mozołu przy wznoszeniu sobie (!) pomnika. Tu tego nie ma, mimo że jest rozdział poświęcony Barbarze – żonie poety, i to najlepiej świadczy o klasie autora. Może rzecz byłaby bardziej klarowna, gdyby autor pokusił się o większą dyscyplinę, przedstawił swoją obecność w Piwnicy poprzez przygotowania kolejnych programów, w których brał udział i tych programów otoczkę, kulisy, tę całą mgiełkę wokół nich. Ale wydaje się, że to robota jednak dla kogoś innego. Ładnie to sam pointuje: Łaskawy Czytelniku, [...] nie licz na marszrutę dobrze zorganizowaną. O możliwościach moich w tym względzie mam trzeźwe zdanie. „Zdaję sobie sprawę z ułomności (morficzności) tego, co się tu na tych kartkach ułożyło. Z braku precyzji, skrótowości, pominięć”. „Nie o to mi szło. Nie o buchalterię, kolejność wejść – zejść na scenę. Nie o to. Raczej o rodzaj rozumienia, o hierarchię spraw, wybór motywów, o klimat, temperaturę uczuć, o bliskie sąsiedztwo powagi i niepowagi, o rodzaj śmiechu, kpiny, lecz i o chwile prawdziwego zamyślenia, zastygnięcia... O dotyk wzruszenia”.

I co można do tego dodać? Tak zamyka się Długoszowa *silva rerum* poświęcona Piwnicy pod Baranami i jej twórcom. Nostalgiczna, przesiąknięta tęsknotą za czasem, który odszedł, z głęboko ludzkim rozumieniem nieuniknioności przemijania, życzliwym pogodzeniem się z nim. Pisany z radością, że w porę utrwaliło się ślad pamięci po bliższych i dalszych przyjaciółach. Nieczęsto trafiam na takie książki...

Adam W. Kulik

Konrad Sutarski

Literacka sensacja na Węgrzech

Władysław Reymont: Bunt

Spośród pięciu polskich laureatów literackiej Nagrody Nobla Władysław Stanisław Reymont (1867-1925) otrzymał ją jako drugi. Największym, najwspanialszym dziełem, za które go nagrodzono, była powieść społeczno-obyczajowa *Chłopi*. Reymont napisał ją i wydał w pierwszym dziesięcioleciu XX stulecia, a więc przed I wojną światową, zaś ozdobiony światowym wyróżnieniem został w 1924 roku. Jeszcze przed tym dziełem stworzył również – powszechnie znaną i na Węgrzech – powieść *Ziemia obiecana* (1899). Obydwie te powieści zostały przełożone na Węgrzech przed II wojną światową, *Chłopi* przez Jánosa Tomcsányiego (1925), a *Ziemia obiecana* przez Istvána Mészáros (1932). Do tego można jeszcze dorzucić sensacyjną powieść grozy *Wampir* (1911), przetłumaczoną przez Lajosa Pálfalviego (1990).

Dotychczas w ich cieniu pozostawała ostatnia powieść Reymonta, tym razem społeczno-polityczna, nosząca tytuł *Bunt*, napisana w 1924 r. Odkrył ją dla Węgrów dopiero teraz były kierownik niestety już nieistniejącej Katedry Filologii Polskiej na Uniwersytecie w Debreczynie István D. Molnár. Jest jej tłumaczem, napisał też przedślowie. Powieść ta jest połączeniem baśni i antyutopii, w której Reymont opowiada historię krwawego buntu zwierząt przeciwko władzy człowieka. Jej bohaterowie, właśnie zwierzęta, ukazują postawy, które przyjmują ludzie wobec przewrotu

Władysław Reymont
Lázadás (pol. *Bunt*)

Przeł. na j. węgierski István D. Molnár

Rézbong Kiadó, 2021

Stron 172

ISBN: 9786155475535



społecznego. W powieści pod sztandarem takich haseł jak wolność, równość, sprawiedliwość dokonują rewolucji, na której czele staje pies Reks. Czy jednak będą szczęśliwsze w nowym systemie? I w ogóle czy są gotowe, aby stworzyć nowy system, przejąć za swoje życie odpowiedzialność? Niezgoda na niesprawiedliwość, która zaczyna się od szczytnych haseł walki z niesprawiedliwością i uciskiem w imię budowy świetlanej przyszłości, przeistacza się w krwawą rzeź, prowadzącą do totalnego zniszczenia i utraty wszelkich złudzeń.

Bunt to zatem także antyutopia, która najczęściej porównywana jest do *Folwarku zwierzęcego* angielskiego pisarza George’a Orwella, ponieważ tematyką obu tych powieści jest sprzeciw zwierząt wobec wykorzystującego je człowieka, zaś modelem rzeczywistym dla jednej i drugiej była rewolucja bolszewicka i totalitaryzm sowiecki. *Bunt* porównywano do *Folwarku zwierzęcego* niesłusznie, ponieważ mogło być tylko odwrotnie: książka Orwella powstała niemal dziesięć lat po Reymontowskiej, autor ukończył ją w czasie II wojny światowej, w 1943 roku, a wydana została w roku 1945.

Dlatego istnieją przypuszczenia, iż Orwell mógł znać powieść Reymonta. Jak podaje także István Molnár – już w roku 1926 *Bunt* został przełożony na język niemiecki, a w 1928 na holenderski. Ponadto między tymi dwoma dziełami istnieją wyraźne różnice. U Reymonta postacie nie są karykaturalne i przejawione, nie da się ich jednoznacznie ocenić ani sprezyzować, który bohater ma polityczną czy ideową rację, a który się myli. Powieść *Bunt* jest artystycznie znacznie dojrzałsza, wymaga od czytelników większego wysiłku intelektualnego ze względu na wielość paraboli i niejednoznaczność symboliki; bohaterowie-zwierzęta prowadzeni przez psa Rekxa opuszczają gospodarstwo, podążając do – niejako biblijnej – ziemi obiecanej, dla nich jednak nieosiągalnej, natomiast u Orwella po prostu pod przywództwem wieprza Majora wyrzucają właściciela z obejścia.

Powieść Reymonta jest wciąż aktualna. Warto wczytać się w jej treść. Systemy totalitarne stale próbują panowania nad normalnym światem. W przeciwieństwie do standardowej prozy Orwella, w Reymontowskiej język jest piękny, bogaty, oryginalny. Świetne są również impresjonistyczne opisy, tworzone z poetyckim rozmachem, które – dzięki tłumaczowi – zostały zachowane w węgierskim przekładzie.

Konrad Sutarski

Grzegorz Walczak

Teatr zakopiańczyków¹

Andrzej Dziuk i Witkacowska Ferajna

(szkic subiektywno-obiektywny)

Część 1. Spotkanie z szalonymi bohaterami

W lutym, jak zwykle, odbywa się wielka cykliczna uroczystość Teatru Witkacego w Zakopanem – urodziny tej sceny. Tym razem trzydzieste siódme. Jak podaje informator teatralny:

Organizowane są (one) od początku istnienia zakopiańskiej sceny, założonej 24 lutego 1985 roku, dokładnie w 100 rocznicę urodzin patrona instytucji. Jest to impreza cykliczna, ciesząca się ogromnym powodzeniem wśród ciągle poszerzającego się grona publiczności, Przyjaciół, Gości, Dobroczyńców i Sponsorów Teatru. W ciągu kilku dni Zespół stara się przedstawić dorobek realizacyjny ostatniego sezonu, nowe premiery i zaskoczyć publiczność niespodziankami artystycznymi przygotowanymi specjalnie na tę wyjątkową okazję. W trakcie obchodów urodzinowych odbywają się koncerty zaprzyjaźnionych z Teatrem muzyków (nie tylko) jazzowych. Urodzinom często towarzyszą działania plenerowe i niespodzianki specjalnie na tę okazję przygotowane przez aktorów.

Teatr Witkacego w Zakopanem jest i siedzibą kultury na wysokościach, i zjawiskiem absolutnie wyjątkowym, a to przede wszystkim ze względu na klimat, nie ten sensu stricto górski, ale atmosferę przesyconą fluidami sztuki, jakie Andrzej Dziuk – wraz ze swoimi współtowarzyszami nieustającej artystycznej podróży – potrafi rozsiewać. Bywałem w wielu teatrach Polski, nawet w jednym przez kilka lat byłem kierownikiem literackim, ale nigdzie nie czułem się tak serdecznie przyjmowany, jako gość i jako widz uwodzony w najlepszym tego słowa znaczeniu, hołubiony i dopieszczany, a to już na wejściu gorącą herbatą, a to przy większej okazji winem lub Andrzejową nalewką o niezwykłym smaku, a to – jak ostatnio – miejscowymi specjałami. I nie w tym rzecz, że traktowano mnie wyjątkowo. Tu się wyjątkowo traktuje każdego, kto zbłądził nawet przypadkiem do tego

1 Spektakl *Na przełęcz* wg St. Witkiewicza i W. Eljasza-Radzikowskiego, w reżyserii Andrzeja Dziuka. Teatr Witkacego w Zakopanem, premiera 31.12.2002 r.

schroniska sztuki, co nie znaczy, że każdego zaprasza się zaraz na kolację. Kiedy zostałem już rozpoznany jako świadomy poszukiwacz i pozerca niebanalnych spektakli, i doczekałem się szaczonego miana „teatrała” (tak Witkacy nazywał artystów i widzów krążących w duchowych sferach sztuki), zostałem przyjęty przez Andrzeja Dziuka, jego żonę – Dorotę Ficoń – i innych aktorów do grona przyjaciół Teatru.

Podejmowany byłem z estymą, poważnie, choć często też żartobliwie, bo chodzi się tu nie tylko na koturnach. Po kolejnych spotkaniach, a było ich niemało, wiedziałem, że tutaj sztuką żyje się naprawdę. Kiedyśmy się przed wielu laty już lepiej rozpoznali z Andrzejem Dziukiem i stało się wiadomym, że jesteśmy w nieco różny sposób potrąceni kopytem Pegaża, zaczęła się nasza przerywana odległością i szybko umykającym czasem zażyłość, wielogodzinne nocne dyskusje filozoficzne, literackie, dramaturgiczne, a potem także współpraca. Dwukrotnie miałem przyjemność i zaszczyt mieć wieczory autorskie w Teatrze Witkacego, pierwszy raz w wykonaniu aktorów tego Teatru w reżyserii Dziuka, drugi raz w moim własnym niemalże monodramowym występie, kiedy przyjechałem na zaproszenie Pana Dyrektora razem ze słynnym muzykiem – Krzysztofem Ścierańskim i jego rozbudowanym instrumentarium muzycznym. Wspomagała nas w naszych artystycznych zmaganiach urodziwa i zdolna aktorka zakopiańskiego teatru Joanna Banasik.

Wcześniej jednak wydarzyła się znacząca dla mnie i intrygująca przygoda, przy początkach narodzin spektaklu *Na Przełęcz*, której zarysy przedstawię (w części 2) przy okazji opisu istoty tego widowiska. Wspomnę jeszcze tylko moją ostatnią wizytę w zakopiańskim teatrze w sierpniu 2021 r., kiedy to nieoczekiwanie znalazłem się w gościnnych apartamentach tego obiektu, zaproszony przez Dyrektora, który poratował mnie przez kilka dni w trudnej mieszkaniowej sytuacji. Dom ZAiKS-u był po brzegi zajęty i miałem niemały kłopot ze znalezieniem lokalu w masowo okupowanym przez ceprów tej góralskiej miejscowości, a przygnała mnie tu całkiem miła wiadomość. Miałem się stawić po odbiór nagrody w 50. Ogólnopolskim Konkursie Literackim na wiersz o tematyce górskiej, w ramach odbywającego się w Zakopanem Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich. Był to dla mnie całkiem dobry pretekst, by zobaczyć się z przyjaciółmi i obejrzeć kilka dotąd nieoglądanych przeze mnie sztuk.

Obejrzałem trzy spektakle, które sprawiły mi nie mniejszą rozkosz niż odbiór nagrody, a mówiąc prawdę – większą. Jeden z nich to *Stachura...* w reżyserii Andrzeja Bieniasa i dwa spektakle A. Dziuka: *Rzeźnia*



S. Mrożka, którą dopiero tu właściwie doceniłem, oraz *The Underground Man*, według *Notatek z podziemia* Fiodora Dostojewskiego w niesamowitym – jak i rzecz sama – wykonaniu Andrzeja Bieniasa (Beziminny) i towarzyszącej mu, momentami w niemej roli Emilii Nagórki (Liza).

Jest coś wspólnego w tych tak przecież różnych przedstawieniach. Wskazuje na to już sama zewnętrzna forma – rodzaj konstruowanej przestrzeni, dynamiczne traktowanie scenografii, stylistyka kostiumu, sposób wykorzystywania instrumentu, jakim jest aktor. Dziuk stworzył swój styl teatru. Jego duchowość i stylistyczne piętno odcisnęły się również na zresztą całkiem samodzielnym i precyzyjnie ułożonym spektaklu Andrzeja Bieniasa, spektaklu tyleż poetyckim, co filozoficznym, w którym muzyka (również A. Bieniasa) odgrywa też niemałą rolę. Czuje się szkołę Mistrza, ale to i dobrze, bo jest w tym pewna zasada artystyczna, pewna jednolitość i tożsamość teatru. Obydwaj dążą do tworzenia spójnego teatru myśli i formy. Filozofują.

Dziuka reżysera nie ma bez jego filozofii. Nie pragnie on teatru jedynie zgrabnie dopasowanych foremek. Zawsze mu o coś chodzi. Te trzy odległe w czasie i poetyce dzieła jakby się uzupełniały, jakby szukały odpowiedzi

na podobne, nurtujące twórców pytania, pytania o tożsamość, o istotność tożsamości indywiduum. Jest ono powielane, reduplikowane przez analogiczne byty, analogiczne „ja”. „Ja” wobec świata i „ja” wobec siebie, w walce ze sobą, mimo uświadomienia sobie przekleństwa absolutnej wagi siebie dla siebie, a przez to uświadomienie jeszcze większej niemożności pozbycia się tego naddatku siebie wobec innego, chyba że przez unicestwienie.

Wokół tych myśli bezradnie i beznadziejnie obraca się Stachura, zwłaszcza w głęboko przeżytej i intelektualnie przetrawionej rzeczy o egoizmie – w *Fabula rasa*. A spójrzcie tylko, co się dzieje z głównym bohaterem Dostojewskiego z *Notatek z podziemia*, które stały się początkiem, zaczynem dla jego dalszych najwybitniejszych dzieł. Osnuty na tym utworze spektakl Dziuka – *The Underground*, skupia się na analogicznym do wątku Stachury szaleństwie człowieka, który nie może zaakceptować siebie i gotów jest skończyć podobnie, jak to uczynił wybitny polski poeta. Świat nie do wytrzymania ogniskuje się w bohaterze, musi się więc on z siebie wyzwolić. Czyni to przeciw sobie, desperacko „zabijając” miłość ku niemu Lizy, jedynej mu bliskiej osoby. Niemoc w relacjach z innymi jest objawem niemocy w relacji z samym sobą. To potęguje stan patologicznej reakcji na rzeczywistość, chęć jej przekreślenia, wyobcowania się z niej absolutnego, autodestrukcji.

Obydwaj bohaterowie zestawianych dzieł szukają prawdy o świecie w sobie samym, w głębi własnego ja. W rezultacie szukają siebie. Pytanie, kim jestem? – to żadna w literaturze nowość. Postawienie tego problemu, próba dotarcia do tej tajemnicy jest udziałem prawie wszystkich znaczących twórców. To też w swych dziełach najczęściej gadają oni sami ze sobą. Podróż w głąb siebie jest dziś zabiegiem w twórczości ograny. Ważne jest przede wszystkim, **jak** to jest przeprowadzone. Ważne, jakimi sposobami dochodzi autor do zanegowania siebie w sobie lub siebie w swoim bohaterze, jaki nadaje ładunek emocjonalny i wyraz artystyczny opisowi szaleństwa albo też rezygnacji, czy innej formy upadku. I na czym kończy. Bywają szaleństwa, wynikające z mroku duszy, z totalnej alienacji bohatera, jak u Dostojewskiego – Dziuka – Bieniasa. Ten ostatni momentami – wydawać by się mogło – w swej grze zatracą granicę między własną fizjologiczną, fizyczną tożsamością siebie jako człowieka, swoją nagą skórą, mięśniami i psyche, a postacią Bezimiennego.

Andrzej Bienias w tym niesamowitym, bolesnym przedstawieniu obnaża się nie tylko cielesnie. Zastanawiam się nawet nad tym, czy on tej roli nie musi odchorowywać, czy jakiś czas nie musi minąć, by mógł odnaleźć

siebie jako człowieka, który tylko na moment spektaklu zanurzał się w skórze i wnętrzu Bezimiennego. Dziuk reżyser – ten „okrutnik” w sztuce radykalny – chyba dla dobra sztuki czyni coś takiego, co doprowadza do stanu osobliwego psychicznego udręczenia aktora nie mniej jak on szalonego. Wyobrażam sobie, że prawdziwi artyści, ludzie ekstremalnej sztuki, w chwilach pełnego oddania się jej przestają być sobą i przez ten czas, kiedy „odjechali”, prawdziwie cierpią. Dlatego są trudni na co dzień, dlatego ich żony, a myślę tu i o mojej, nie mają z nimi łatwo, choć ci wyrafinowani zapaleńcy potrafią być też w codzienności przemili i łagodni.

Strzeżcie się prawdziwych artystów, ale korzystajcie z ich talentu, a nawet z szaleństwa. Może się zapędziłem.

Część 2. Na przełączy okiem świadka

26 marca 2021 r. na Facebooku została przekazana transmisja spektaklu on-line Teatru Witkacego w Zakopanem, pt. *Na przełączy*, spektaklu 166 razy granego na żywo nie tylko w głównej sali widowiskowej Teatru na Chramcówkach, ale i w prawdziwie górskim otoczeniu – w schronisku na Morskim Oku i na Kalatówkach.

Za kanwę tego niezwykle oryginalnego widowiska posłużył reżyserowi, Andrzejowi Dziukowi, nietypowy reportaż Stanisława Witkiewicza, ojca Witkacego, momentami instruktażowy, o zdobywaniu gór, a momentami sprawiający wrażenie poetycko-filozoficznego eseju. Bez względu na to, jak byśmy określili gatunek adaptowanego materiału, reżyser zrobił z niego prawdziwy teatr, przedziwne, nietypowe przedstawianie, które chyba pobiło rekordy utrzymywania się sztuki w repertuarze Teatru Witkacego – od 2002 r. do dziś.

Spektakl prezentowany był też w Teatrze TVP w 2005 r.

Kiedy staniecie przed bohaterami tej sztuki, spotkacie się tu nie tylko na przełączy, ale i na skrzyżowaniu poetyckiej wysokiej (może wysokogórskiej) zadumy i nadkabaretu, realności miejsca i modernistycznej, a może i postmodernistycznej wyobraźni, piosenki lirycznej – z tonami nienachalnej religijności – i piosenki żartobliwej, dobrodusznie prześmiewczej, rodem z teatru satyry. Nie da się opisać całej tej artystycznej heczy, a zwłaszcza tego, jak Reżyser pokazał góry i co wyprawiał ze swoimi aktorami, tymi nieszczęśnikami, zawieszonymi nad czeluścią Wszechbytu.

I ja – jak powiadają – w tym palce maczałem.

We wprowadzeniu do spektaklu dyrektor zakopiańskiego teatru Andrzej Dziuk pisze: *Istotnym elementem całości są Pieśni – czasami o charakterze wyraźnie kabaretowym, a innym razem liryczno-modlitewnym. Autorem tekstów tychże Pieśni jest współczesny poeta i dramatopisarz – Grzegorz Walczak. No i muzyka – tzw. motyw przewodni – czyli motyw wędrowania autorstwa Zbigniewa Namysłowskiego oraz muzyka Pieśni – kompozycje Jerzego Chruścińskiego. Co ważne – muzyka wykonywana jest na żywo.*

Na prośbę Andrzeja Dziuka rozpocząłem prace przygotowawcze do adaptacji teatralnej tego wyjątkowo trudnego do zaadoptowania dzieła, pozbawionego bowiem fabularnych wątków i dramaturgii, bez której spektakl nie miał się prawa udać. Przy pierwszej konfrontacji z Zespołem aktorskim wydawało się, że klęska jest nieunikniona. Większość aktorów obecnych na pierwszym czytaniu adaptacyjnego scenariusza odmówiła uczestnictwa w tym „fatalnym” projekcie. Rzecz rzeczywiście nie wyglądała zachęcająco, mimo kilku moich autorskich „manipulacji” i dołączonego już w tej fazie pracy do wyboru fragmentów tekstu *Na Przełęczy* (1889) zabawnie i archaicznie dziś brzmiących fragmentów pierwszego *Przewodnika do Tatr i Pienin* Walerego Eljasza-Radzikowskiego (1886). Do tej rozkosznej „instrukcji” ze wskazówkami, jak się należy zachowywać w górach, jak się ubrać, jakie akcesoria ze sobą zabrać, uporczywie, na zasadzie leitmotiwu, dorzucałem tu i ówdzie: ... *no i korkociąg*. W piękne i wzniosłe opisy naszych dosłownie wzniosłych Tatr prawem kontrastu wkomponowywały się z lekka prześmiewcze, łagodnie satyryczne obrazy posuwających się mozolnie w górę wędrowców–zdobywców, czyli ceprów galantych, którzy z punktu widzenia miejscowych górali musieli nieco być śmieszni i nieco umysłowo podejrzani. Dystans i ironia, choć przesyczone dobrotliwą nutą, spletają się z metafizycznym doznaniem wyjątkowego piękna gór, czystości przestrzeni, w której są zatopione, czegoś nieskończonego i majestatycznego, wobec czego jesteśmy tylko drobinką (*Jaki jesteś drobny wśród tych stromych grani, jaki jesteś wielki, gdyś tu stanął z nami...**). Moje teksty piosenek i muzyka Jerzego Chruścińskiego oddają to, jakże zasadne, pomieszanie pozornie przeciwstawnych żywiołów dominujących w sztuce. Z jednej strony niby filuterne igraszki, ukazujące satyryczny obraz wspinaczy, którzy pną się nie wiedzieć po co, a z drugiej strony, gdy na wysokościach mrok ich zaskoczy i zdawać by się mogło, że już wyjścia nie ma, pojawia się *między niebem i ziemią** ze swą zawsze pomocną dłonią *górski Pan, górski Bóg**. A oni, a „my” skruszeni, już nie tacy pewni w chwilach zagrożenia, szukamy swojej Orędowniczki:

Panno Jasna nad wierchami *

*Panno Górską, Panno Świętą,
która brodzisz w chmur gęstwinie,
co bezpiecznie nas sprowadzasz,
gdy zmrok zapadł, ku dolinie,
co się zjawiasz, gdy słabniemy
i tracimy w siebie wiarę,
Ty rozgrzewasz nasze ręce,
nasze serca oszroniało.*

*Panno nasza Jaworzyńska,
Panno Jasna nad wierchami,
choć nie zawsze my chwalebni,
nie opuszczaj nas, bądź z nami.
Niech lawina nas nie sięgnie
ani obcy nie zatrwoży,
niech tu grzech się już nie lęgnie,
daj tej ziemi pobyt zbożny.*

*Zanim Pan nas nie zawoła,
nim czas ziemski nam upłynie,
dozwól godnie żyć Twym wiernym,
pobłogosław tej krainie.*

*Panno Górską, Panno Świętą,
która brodzisz w chmur gęstwinie,
Panno nasza Jaworzyńska!*

Jest jeszcze romantycznie-metafizyczny wątek tajemniczej niewieściej postaci, kreowanej przez oderwaną nieco od rzeczywistości, uduchowioną, a może by należało raczej powiedzieć – natchnioną Dorotę Ficoń. Cóż to za postać, czemu tak intensywna i takie mocne pozostawia piętno jej każdorazowe pojawienie się? Nie będę wszystkiego dopowiadać. Nie rozwiemy tej mgiełki tajemniczej, która się unosi nad Tatrami, a w młodopolskiej symbolice jest po prostu konieczna. Mgiełka ta przynależy i do Stanisława Witkiewicza, i do Andrzeja Dziuka, twórcy spektaklu, który nie tylko przewartościował pierwotną moją załączkową próbę adaptacyjnego

scenariusza, ale i znalazł jakże prosty a dowcipny klucz scenograficzno-inscenizacyjny do tego pełnego kontrastów, a jakże stylistycznie spójnego spektaklu.

Zobaczcie, jeśli Wam będzie dane, jak ta słodka brać aktorska pędzona nie tylko rozkazem reżyserskim, ale i własną szwależerską swadą wspina się, zwisa, pełźnie i niemalże spada z tych naszych Zawratów, Giewontów niedosiężnych, z tych... szaf kanciastych, po których ten ich „sadystyczny” Demiurg kazał się przetaczać, mościć, a najpierw je zdobywać. Tak, tak – staromodne szafy stały się w tym synkretycznym widowisku szczytami, przełęczami, zboczami i graniami, a czasem wysokogórskim schroniskiem. Wygrała wyobraźnia. Wszyscy artyści zakopiańscy wraz ze swym dowcipnym, ale i wrażliwym na mowę gór reżyserem zdobyli za swą sztukę niemałe uznanie. A olśniewające piękno tych gór obnażyły zmysłowe słowa Stanisława Witkiewicza:

Spojrzeliśmy ku Tatrom. Płynęły morzem blasków i błękitów – czyste, jasne, kryształowe, srebrzyste, w śnieżnej, skrzęcej się, niepokalanej bieli.

Przemówił Witkiewicz, przemówili zakopiańczycy, przemówiły góry.

Grzegorz Walczak

* Cytaty oznaczone gwiazdką pochodzą z tekstów piosenek Grzegorza Walczaka.

Janusz Andrzejczak

TEN, który mnie znalazł

Z Ziemi Zabłudowskiej wyrósł jak drzewo. Wyrósł tuż przy starodawnym krzyżu, pod ramionami rozpiętymi na całą tę powłóczystą ziemię. Schronił się pod nim i rósł, rósł, rósł, a ziemia była mu pokarmem. Ta ziemia, jego ziemia: ziemia zabłudowska, łubnicka.

W cieniu tego krzyża był on, jego rodzina, ich dom, pomieszczenia gospodarskie, okoliczne łąki, pola, wysepki lasów i drogi. Główne drogi były dwie: ta do Zabłudowa i Narew. Obie wiodły w świat. Ale po co w świat, jeśli dookoła ma się wszystko? Powłóczystość krajobrazu, to domysł tego, co jest za. Jest ona jak wiersz, opowiadanie, obraz, dźwięk, bez zakończenia. Widnokrąg, który kończy się polem, łąką, wysepką lasu, ale gdy pójdziesz się kilometr do przodu, znów jest pole, łąka i znów są wysepki lasu. Krajobraz bez końca... Taki on był: Poeta i Jego krajobraz: bez końca.

Łączył w wiersze niteczki babiego lata, kosmyki mgły, kwiaty łąk, pył dróg, zakola, zatoczki rzeki.

Drogami przez pola, na przełaj przez łąki, pola i wysepki lasów, siedł Poeta do Zabłudowa, albo z Zabłudowa do siebie, do Łubnik.

On – Poeta.

Aż dotarł tam, co wydawało się nie mieć końca.

Jan Leończuk – Poeta z Białostocczyzny, z Podlasia, z Łubnik koło Zabłudowa. Zmarł 23 listopada 2021 roku w wieku 71 lat.

On – mój serdeczny Przyjaciel.

Ten, który mnie znalazł. Dla siebie, dla niego, dla innych.

Wieczny Ci, Janeczku, odpoczynek...

Kareta z Janem

Czym to zajeżdża
dobry pan Jerzy?
Czyżby kareta?
Za chwilę ruszy
spod wrót Książnicy
z wielkim poetą.

I w dal pojadą...
A ona we mgle
sina i płowa.
Jedzie kareta
z poetą Janem
do Zabłudowa.

Miejsce na mapie.
Ten równoleżnik
i ten południk.
Tak by się chciało,
nawet i pieszo,
do Jana z Łubnik.

Bezdrożną drogą
i rzeką dziką.
Czy jeszcze zdążę?
Do jego stołu,
do jego ikon,
do jego książek...

I, i...

I martwi, i cieszy
nie do końca
zapisany zeszyt

Zimą się srebrzą
jesienią się złocą
tak piękne litery
nie wiadomo po co

Napierają wiersze
liter słycać tętent
trzy kartki niezmiennie
zostają nietknięte

Póki z sobą zeszyt
bezdrożem i drogą
martwi mnie i cieszy
po co i dla kogo

Krzyk

Pyłem się w dziupli udławi
albo go wiatr poniesie
pokrzywna rusałka pawik
rozskrzydli po całym lesie

Pajęczą siecią się zwiesi
po drzewie zwinie się bluszczem
echem się leśnym – zlesi
w bezkresną poniesie puszcze

Mój krzyk, błaganie o to
aby się zrosnąć z drzewem
nie mówić, szumieć tylko
że nie wiem, nie wiem, nie wiem

A obok

Przez cuda lasów
mówisz do mnie Panie,
przez ich tajemnię.
A ja się pytam,
czemu nienazwanie
tego jest we mnie.

Poprzez te lasy
każdy ich szczegół
i co w ogóle,
wyznaczasz brzozę

bym czuł jak boże
może być czułe.

Przed Tobą w drzewie,
Boże mój klękam
i głowę chylę
przed pięknem dobra
i dobrem piękna.

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Jeszcze jedno westchnienie

Jestem w prześcieradle na którym odpoczywam
Białe prześcieradło świeżutkie spod żelazka

Niebieskie prześcieradło rozkładałem kiedyś na plaży
Przechodniom wydawało się że tonę w błękicie

Szalałem w zachwycie na czerwonym posłaniu
To gorzał ogień Anioła pożądania tlenu

Dotąd na poduszce leży anielski srebrny włos

Granitowa płyta

Ostrożnie
na paluszkach podchodzę
nie chcę cię budzić
nie chcę abyś płakała

czy to sprawiedliwe
że to ja patrzę na ciebie z góry
a ty patrzysz na mnie z dołu

wczoraj chciałem do ciebie zadzwonić
ale przecież nie znam ani numeru ani kodu

czekałem na twoje pyszne zdanie
będiesz spokojniejszy gdy nie będziesz grzeszył

lubiłem nasze pożegnania jak dzwon:

do jutra
do jutra

Anna Dutka-Mańkowska

Pani bez pieska i inne wiersze

Pani bez pieska

Piesek został w psim hotelu

jego pani nie widzi
musiała go oddać
została sama
płacze w klinice na krześle obok
na pustym korytarzu

nie spytałam jak ma na imię ona
a jak piesek

gdybym mogła pomyśleć ich imiona
razem
to już by było coś

Konie

Ślady kopyt końskich na linii wody
konie szły nie depcząc jęzora fal
długo ubitym piachem
potem skręciły do morza
przy białym napisie z muszli: *Pferde*
konie morskie

Jazda konna oprowadzanie dla dzieci

Czarne kuce nie wożą już nikogo
pół dachu się zapadło
dom opustoszał

na płocie plastikowa skarbonka:
Wrzuć pieniążek. Dziękuję.

kuce idą w moją stronę
czarne kuce
czarny los

Śliwa Rubika

Po wyjściu z oddziału onkologii
pan Rubik zaszczerpił na tej śliwie
dwie inne odmiany

od ćwierć wieku
daje nam co roku
trzy gatunki owoców

drzewo – pomnik
śliwa Rubika

Wyrób wieczności

*Czas jest to materiał
do wyrobu wieczności*

Zofia Zawisza-Kernowa

w ogrodzie
w zrujnowanym skrawku raju
zegar wiszący na drzewie odliczał godziny
aż na trzeciej
stanął

teraz pozbawiony wskazówek
pokazuje sam czas
tylko czas i bezczas
miarę czasu i bezmiar
bezbłędnie

Rzeczom na ratunek

Przedmioty często wzywają ratunku
ale mało kto to słyszy i rozumie

trzeba im oddać kawał życia
ustalić czego im trzeba
wydobyć kształt frezarką
wymyślić nowy rodzaj spawania
zrobić prototyp narzędzia
ułożyć algorytm
w masie posortowanych śrubek znaleźć tę właściwą
i po wielu próbach umieścić ją jak trzeba

wtedy rzecz staje się taka jaka być powinna
milknie
wtapia się w niezeepsutą część świata
i trwa
czeka na nas w wiecznej ciszy

Anna Dutka-Mańkowska

Ewa Eysymontt

Dawid

Dawid
anioł
wzlatujący na nadłamanym skrzydle harfy
śmieszny tańczący przed arką
kaleki wzlatujący w kolejne nieba
patrzy w tę w tamtą stronę

lecz na jedną tylko strunę chce nanizać
literę głoski odporne szyki słowa
które powtarza powtarza powtarza
gdy Bogu
ni-gdy dosyć

Gazeta

Przeczytałam właśnie
kolejną wieczorną porcję smutku
kolejny bezgłos
pod czaszą nieba

Niemoc
której chyba nie dana jest łaska
ślepe macando
wśród stygnących słupów powietrza

Gazeta ta
ta jak truchło
Jak te
chniczny zgrzyt

Ani echa –
literę skrzepte płe

w płamy
martwe te ta
w ot
chłanie

2015

Ona i On

Ona siedzi przy oknie
Na palec nawija grzechy narodów
Zaprzaństwo, zdradę,
zły handel,
fałsze i jawne kłamstwa

Usiłuje równo oddychać
trzymając w ręku ołów i smołę.

Wchodzi On
Siada tuż przy Niej
Rozjarza uśmiechem
otaczający Ją obłok

Wyciąga dłoń ku Jej dłoni

W milczeniu
gładzą Oboje
po skołtunionym łbie
brudny kłęb ciemności

Po Mszy świętej

Płyniemy, płyniemy
we Krwi Chrystusa

niesieni łódkami Krwi
tą Krwią

wartko
ku Celowi –
wyptywamy z kościoła
jej cząstki
w ulicę Krwi pełną
w powietrze
przejrzyste
czyste
Krwi pełne

czyste

Ewa Eysymontt

Sylvia Gibaszek

List

Motto

*Uczepiona nici
Promiennego lata
Ważka
Zda się świadczyć w chwale
Że życie jest królestwem
Nietrwałym*

Anne Perrier

Droga Anne Perrier
po wyjściu z ciała wszędzie blisko

blisko do Ciebie przez groblę
rezerwatu Morysin
brodzące w glinie spóźnione żurawie
liście w locie nad żółtym odbiciem realności
nierzeczywiste kroki kobiety w ubłoconej sukni
tętent końskich kopyt
szczęk kluczy do bramy
leśniczówki króla Jana Sobieskiego

koloratury
błękitne tiurniury sójek

w domku kulawego stróża który nie ma siły
naprawić dziurawego dachu

blisko do Ciebie
przez odcienie ciszy
mknące po torach
golfowych tuż za polem kukurydzy
choć damy wołały grać w krykieta
przez wzbijające się do lotu tumany liści

tak blisko do Ciebie Droga Anne
pamiętam te same plamy ciszy w Szwajcarii
kiedy w Interlaken po deszczu
na chwilę ucichły wodospady
wszyscy spali na małym campingu w górach
tylko ja mieszałam
świeżo zaparzoną kawę aluminiową łyżką
przewracając kartki *Baśni* Hessego

blisko do Ciebie

kiedy otulona szczerze jak muzułmanka
tęczową chustą z grubej wełny
robiłam zdjęcia w oazie Shebika
zgubiłam się

to nie fatamorgana tylko szron
zaczął topnieć mi na powiekach
straciłam ostrość widzenia w oślepiającym

grudniowym Słońcu nad Saharą
pękł mi wyświetlacz telefonu
jak kieliszek z huty szkła Herzoga
złowieszczo oszczędzającej piasek

tak mi blisko do Ciebie tamtego lata
Droga Anne
Kiedy w Rzucewie gdzie nadmorski zamek
też króla Jana
jechałam konno plażą
skręciłam wtedy gwałtownie do morza
by nie stratować ważki
na fioletowych kwiatach ostu

wzbiły się tumany piachu
kłęby piany
spadły do wody wszystkie liście

Eugeniusz Kasjanowicz

Z cyklu: Grecja

List do Zorby

Anthony'emu Quinnowi

Wybacz mi nie potrafiłem czuć się wolny
 znałem tylko fragmenty dni
 skaczące jak kozice po ostrych
 stromych skałach
 przysysając się do ksiąg
 niczym ośmiornica wszystkimi mackami
 nie zauważałem jak przez długie wieczory
 migotało światło twoich oczu
 chwilami coś mnie odrywało od liter
 widoku ścian bólu głowy
 wina o lekkim smaku żywicy
 zwanego retziną
 i olśniewał odległy niezrozumiały błysk
 trwało to jednak krótko
 jakby na chwilę oślepił mnie zajączek
 puszczonego lusterkiem przez małego chłopca
 aż tamtego dnia nasze buty
 stuknęły się porozumiewawczo czubami
 poszliśmy razem
 powoli zaczynałem widzieć
 Nagle santuri i taniec na plaży
 gdzie nie trzeba słów
 całe ciało i twarz
 mają więcej do powiedzenia
 niż może wyrzucić gardło
 wybełkotać język
 pieśń ciała ponad ziarnami piasku
 to całe życie od narodzin do śmierci
 i dalej
 bez jakiegokolwiek przerwy
 szept i krzyk

struny żył
 wszystko gra i płynie
 rozkołysane cząstki tworzące całość
 odbijają się w pomarszczonej twarzy morza
 niknie horyzont nie ma linii
 odpływa ziemia spod stóp
 jest przestrzeń
 wiatr świadomość i brak świadomości
 puls wysokich dźwięków
 coraz wyższych
 oślepiający blask
 wolność...
 Później powietrze powoli zamykające się
 z tobą
 jak płaszczyzna za horyzontem

żegnaj Zorba
 wezmę twoje santuri
 i zatańczę

Meteory

Nogi z trudem pokonywały
 wąskie strome ścieżki
 prowadzące jakby do nieba
 rozciągniętego nad czternastowiecznymi
 klasztorami Meteory
 Podczas krótkich odpoczynków
 przyspieszonego oddechu
 który o mało nie poparzył płuc
 rozlewałem z zachwyty wzrok
 na ścielącą się coraz niżej
 dolinę Pinios
 Fale gorącego powietrza powoli słabły
 zostawiałem za sobą
 garb niechcianych zdarzeń
 zawężających moje kanaliki żył

Przy klasztorze Agios Stefanos
 wbitym w skalistą górę
 poczułem przychyłność greckiego nieba
 życie poszerzało swój horyzont
 tak dalece że nikt nie
 linia załamania światła
 otwierała się przestrzeń
 jak kielich wielkiego kwiatu
 Zacząłem rozumieć człowieka
 pędzącego korytarzami miast
 któremu ściany domów
 codziennie wyznaczają drogę
 Nad klasztorami zawieszonymi
 między niebem a ziemią
 wzeszłaś moja gwiazdo
 nie opuść mnie o świcie
 zjedź z tobą w dolinę
 coraz bardziej widzący

Velika

Idę ścieżką ku morzu
 owoce kiwi patrzą na mnie
 niczym wielkie mądre oczy
 grzechot cykad łaskocze ciepłem
 Plaża Morza Egejskiego
 kamienie porozrzucane jak dni
 różnobarwne małe i duże
 ostre i gładkie
 Na czyich śladach rosną moje stopy
 kto patrzył przed wiekami
 z tej skały za horyzont
 Fale głaszczą mnie
 i odpływają kroplami myśli
 są chwilowymi rzeźbami
 z których odczytuję twarze
 dalekie bliskie

Jakże można tu wątpić
w harmonię i piękno
w równowagę wszechświata
nie zwiodą mnie powierzchowne zdania
nic nie znaczące gesty
sztuczny błysk
którego wieczną przeciwwagą
jest jedno słowo
ilios
Dźwięki buzuki i śpiew
zlewają się z szumem fal
tworząc całość
jak morze i niebo o zachodzie słońca
W oddali delfiny
dostojna niezmacona
radość istnienia

Eugeniusz Kasjanowicz

Andrzej Książek

Aforyzmy

Jak to się dzieje, że we współczesnym świecie odczuwa się dotkliwy brak autorytetu? Ów brak może być przyczyną wszechobecnej bylejakości. Może być byle kto, byle jak i byle gdzie. Są to porażające i przerażające realia kulturowe. I nie tylko kulturowe. Z czym na co dzień przychodzi wszystkim się mierzyć, doświadczać.

Drobiazg, szczegół, moment, chwila decydują o wydarzeniach w wymiarze globalnym, całościowym, choć do całości jako takiej nie należą.

Walka o zdrowie jest walką o życie. Wynik decyduje o tym, czy umrzemy wcześniej czy później.

Od tysiącleci mężczyźni traktują wojnę jako zabawkę. Jej ciężar i odpowiedzialność za jej prowadzenie, ponoszą nie mężczyźni.

Walka płci: W relacjach damsko-męskich, kobiety są lepszymi graczami niż mężczyźni. Grają uczuciami i na uczuciach. Płeć słaba wygrywa z silniejszą.

Paradoksy demokracji: W czasach starożytnych demokracja ateńska skazała na śmierć Sokratesa – najlepszego z obywateli. W czasach nowożytnych demokracja niemiecka wyłoniła Hitlera – największego zbrodniarza w dziejach ludzkości.

Jak człowiek żyje, żywe są jego problemy. Kiedy umiera, umierają jego problemy. A może nigdy ich nie było. Może to wymysł chorej wyobraźni i umysłu stwarzającego problemy tam, gdzie ich nie ma.

Życie emocjami i wyobrażeniami przypomina linoskoczek chodzący po linie. Bardzo łatwo o upadek z wysokości rozbudowanych, wielokondygnacyjnych wyobrażeń.

Tam, gdzie wszyscy krzyczą, przekrzykują się wzajemnie, warto pomilczeć, wsłuchując się w zagłuszany głos (wewnętrzny).

Przerost ambicji nad możliwościami prowadzi do dramatów życiowych na własne życzenie.

O czym marzą kobiety – feministki? O władzy, o rządzeniu światem. O powrocie matriarchatu. Wyeliminowaniu i odsunięciu mężczyzn na dalszy plan. Patriarchat odchodzi na margines w rozwoju cywilizacji świata.

Demokracja – jak każde „narzędzie” wyprodukowane przez człowieka – służy człowiekowi, ale też jest zwrócona przeciwko niemu.

Prawda: „Człowiek, który mówi prawdę, podobny jest do człowieka, który chodzi po ulicy nago”. Przy zdrowych zmysłach nikt nie chodzi nago po ulicy. Ale też nikt nie chciałby chodzić po ulicy w zimowym ubraniu w letnie upały. Obłuda i dwulicowość, mimo że chronią człowieka przed drugim człowiekiem, stanowią truciznę. Zatruwają organizm w sposób systematyczny.

Przekleństwem ludzkiej egzystencji jest zapominanie. To tak, jakby nikogo nie było przed nami i po nas go nie będzie. A śmierć powoduje odejście w sposób absolutny, całkowity. Bez odrobiny bycia i bytu.

Paradoksy: Czy prawo stoi po stronie słabych, schorowanych lub zepchniętych na margines, skoro pierwsze prawo biologiczne głosi, że mamy zachować siebie. Drugie prawo biologiczne brzmi, że mamy zachować gatunek. Pozostałe „akapity” prawa nie są już tak istotne.

Papier cierpliwy. Przyjmie wszystko. Najbardziej skrajne, absurdałne i szokujące poglądy. Życie i tak je zweryfikuje.

Wolny rynek: Demokracja narażona jest na wewnętrzne sprzeczności, paradoksy, antynomie na niespotykaną dotychczas skalę. Każdy może być każdym bez odpowiednich predyspozycji i kwalifikacji. Każdy może rządzić, wystarczy odpowiednia oprawa, reklama. Wszystko da się kupić i sprzedać. Kwestią do uzgodnienia jest tylko cena.

Nieszczęśliwi wiele mówią o szczęściu. Szczęśliwi milczą.

Człowiek niejedną ma twarz. Dla publiczności, na zewnątrz, ma jedną.

„Boże chroń mnie przed przyjaciółmi. Przed wrogami obronię się sam”.
Pytanie, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, skoro przyjaciel może być wrogiem. A po chwili wróg może być przyjacielem. Sytuacja patologiczna.

Samotność jest chorobą, ale związek między dwojgiem ludzi bardzo często bywa toksyczny, niszczący. I to też jest choroba.

Antynomie: Jeśli w danym momencie nie wykorzystasz czasu we względny i korzystny dla ciebie sposób, wiedz, że czas może wykorzystać ciebie w sposób bezwzględny.

Ontologia: Idei i ideałów nie ma. Są na papierze. W rzeczywistości są tylko rzeczy i ludzie.

Dygresja: Kultura wysoka i niska (masowa). Relacja między jakością a ilością. Ilość z racji swej liczebności dominuje, spycha kulturę wysoką na margines, jednakże ilość nie przechodzi w jakość. Kultura wysoka jest dla wybranych. Masowa dla zaniżających jakość niewybrednych mas.

Refleksja epistemologiczna: Nie wierz do końca temu, co słyszysz i co widzisz. Zmysły oszukują umysł. Nie wierz do końca, co myśli umysł. Umysł oszukuje zmysły.

Przy obniżonych kryteriach zdrowia psychicznego normalność jest dziś wartością cenioną, poszukiwaną. Jak nigdy przedtem.

Narracja: Demokracja i kultura niska wyprodukowały człowieka masowego, na wszystkich płaszczyznach i poziomach, którego cechą nadrzędną jest „konsumpcja”, niewybredny sposób patrzenia i postrzegania świata.

Manipulacje: Media, chcąc przyciągnąć widzów, opierają się na szoku, sensacji, skandalu. Są przy tym mało wiarygodne, mało rzetelne. Fałszują prawdę o świecie, manipulując informacjami, wydarzeniami. Zamiast „niusów” mamy „kał niusy”.

Teleologia: Jeżeli nie Bóg, to kto. Nie ma do kogo się odwołać. Nie ma autorytetu na skalę światową, wszechświatową.

Wiersze

Paradygmat czyli potęgę życia

Drzwi przestrzeni są zamknięte.
Ptaki wylatują z gniazd.
Myśli napływają jak chmury
burzowe.

Trzeba żyć.
Nawet jeśli...
Nawet wtedy.

W stylu blue jeans

Zwierzętom mojej zmysłowości
zdjęto kagańce
spuszczono ze smyczy.
Wolne
dobiegły do granicy
osiedla.
Dalej
było ogrodzenie
innej posesji.
Skąd słyszeć było
muzykę Chopina van Beethovena
Mozarta.
Jej dźwięki mieszały się z muzyką disco
polo.
Z dźwiękiem otwieranych puszek
piwa

coca-coli.
Zwierzęta mojej zmysłowości
nie są już tak zwierzęce
ani zmysłowe.
Szczególnie teraz gdy
ostatnie plemiona z dżungli
zostały ubrane w odzież osobistą.
A Amazonka jedna
z najdłuższych rzek świata
zmieniła swój bieg
koryto i
wpływa do innego oceanu.

Pokora

W języku starożytnych sofia – to
mądrość.
Do dziś nie wiadomo dokładnie
co znaczy.
Schowałem się w cieniu.
I z cienia nie wychodzę.
W blasku. Jarmarczne stragany.
Siła głosu i nie tylko głosu
zastępuje siłę argumentów.
I dane nam
kamienne tablice
rozbite.

De – naturalizm

Taka jest natura.
Taki jest człowiek.
Żywo –
płot pnie się w górę
ku słońcu.

To jest takie.
Nie inne. Niezmienne. Nie –
poruszone.
A jeśli poruszone. To mści się do
ostatniego pokolenia.

Fenomeny

Bierzemy pod uwagę różne warianty.
Interpretacje. Interpelacje.
Łagodzące okoliczności.
Tak łagodne że mechanizm przestaje działać.
W jego tryby dostał się piasek
i inne nieczystości.

Woda w rzekach opada do niebezpiecznego
poziomu.
Przedmioty nie mają ostrych krawędzi.
Chropowatej powierzchni.
Są wygładzone wypolerowane.
Ładnie zapakowane.
Niewiele mają wspólnego z rzeczywistym stanem
rzeczy.
Są z innej opowieści.

Andrzej Książek

Jerzy Marciniak

(współpraca: Ester Ardis Marciniak)

czekanie na kolorowe sny

przyfrunął motyl
nadbiegła mała Ester
i oboje
przysiedli na kwiatku białej stokrotki

motyl wyglądał na poetę
który pisał wieczorami baśnie dzieciom
kolorowe jak jego skrzydełka
a ona na jego dziewczynę
opowiadając mu historie
o ciekawych krajach i dalekich podróżach
o rzekach pełnych ryb
wysokich górach czy zielonych wzgórzach

wieczorami
przysiadaliśmy na nitkach babiego lata
i na ciemnym niebie szukaliśmy
szczęśliwych dla nas gwiazd i gwiazdek
co nad ranem znikwały

nieraz na liściach lipy
szerokich
pisaliśmy bajki o nadchodzącej nocy
które w leśnej bibliotece
pełne i leśne skrzaty o świcie czytały

w upalne dni wyczekiwaliśmy
naszych gwiazdek aż do białego ranka
opowiadając sobie kolorowe historie

często
o czarodzieju zakochanym w czarodziejce
który nocami zrywał na łąkach kwiaty
do jej weselnego wianka

w deszczowe wieczory
patrzyliśmy na zachód słońca
jak w jego świetle zanikał kolejny dzień
jak krople deszczu
i białe litery z naszych wspólnych bajek
rozjaśniały noc
a wędrowcom ścieżki w baśniowy las

jak czarodziej z czarodziejką
odszukiwali ścieżkę w wspólne szczęście
a nasze szczęśliwe gwiazdki
kolorową drogę do każdego z nas

Stockholm, grudzień 2021 r.

Piotr Müldner-Nieckowski

W środku komputera

Pyta dziewczynka czy w komputerze
jest bóg czy diabeł
Czytała bajki o czarownicach
boi się pułapki zaprosin do wnętrza
Ślepych zaułków podstępu
Czego naprawdę się lęka?
Skąd wie że ty tam siedzisz
i zagrażasz nie tylko jej?

O tej która cię zawsze oczernia

Mirusi

Królowa żrenicą zamyka się na chwilę
żeby nie widzieć twojej mądrości
Na słuch znajduje brzęczenie muchy
Na dotyk słone deszcze zmywające poty
aż boli i nie chce się goić

Chowam więc ciebie przed jej wizytą
by tej niechęci nie dać zwyciężyć
niech bije berłem po mojej głowie
ja to wytrzymam myśl mam odporną
a na ochronę szarpnięcie i pocisk

Dzień radosny

Nadeszły wady starości
a szczęły słabości młodości

Trzydziesta rocznica

Ballada. Pamięci Tadka Sińca

Czasami mówią i piszą że coś jest
a tego nie ma
albo że ktoś jest myśli czuje kocha
ale Tadka nie ma

tylko że jak Waldek
wyjął nóż z kieszeni
i bez pośpiechu wbił w brzuch
by zabrać głupie sto złotych
na wódkę żołądkową gorzką
to Tadek był jeszcze widoczny
przez mgłę wiecznej dowolności

Rozpływał się w niebycie tak świadomie
że został i jest i czeka bezlitośnie
na sprawiedliwość na tym świecie

I ktoś dobrze wie że nie ma
wódki żołądkowej bo to jest
z liści-korzeni wyciąg wymiotny
z żołądkiem ma wspólne tylko wrzody
plus woda fusy z dna chłodnicy
i że ta wódka nigdy nie gorzka
klejem cukru wręcz lepi
w gardle zatyka rzadki likier
a pod nosem łyzy i krosty

On przebity jeszcze żył –
by biała czerwień nie odeszła z oczu
nam przypominał jak pić aby pić
i pił
a wszystko widział widział ją
wódkę z gorzką Marylą
tak ją wczoraj kochał do upadłego

że pod nim padła nieprzytomna
a teraz na dokończenie łyczek po łyczku
wieczorem się czołga z krzykiem do niego
a on powraca krwi w nim już nie ma
a Waldek jak go na wylot przebił
tak przepadł z przerażenia
kryje się w ścianie pod podłogą
po tamtej stronie Wisły
i to już pełne trzydzieści lat temu
wczoraj tyle minęło
a kara śmierci też już zanikła
jakoś ta nasza cywilizacja
radę sobie nie daje
dosłownie
z niczym
cholera

Uwaga, mikrofon, nie dotykać

Na końcu mojego palca setki tysięcy
bakterii
Na końcu twojego miliony
miliardy
dwa podobne palce
w buzi też są takie ilości
że trudno zrozumieć
na czym ten świat stoi
chyba już nie na pieniądzach
mam ich tylko dziesiątki
Na wyobraźni
na dwóch kulawych nogach
na wyraźnym
powiedzeniu jednego słowa
mam tylko jedno
ale trudno wymówić

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Jeśli...

Jeśli wsysać ciebie będzie
wir czarnej wody
chwytaj się gwiazd
chwytaj się słońca

Jeśli nie utrzymasz się na powierzchni
ich blask
w zaciśniętych pięściach
zabierzesz na dno

Miłosierdzie lasu

Las miłosierny
chowa tajemnicę
i konarami
tuli ofiarę

Jego milczenie
dowodem miłości
szum liści
modlitwa
prośba o szacunek

Bywa
że po latach
ktoś odkryje zło
i wyjmie ofiarę
ze splotu korzeni

Wtedy las zaszumi
z podzięką za prawdę
pochylą się gałęzie
nad skalaną ziemią

29 VII 2021

Oczekiwanie Prawdy

(*słuchając XII kwartetu Beethovena*)

Morze nie powie źródła
Piasek nie wskrzesi skały
a rybie łuski nie uniosą się do lotu
Gdy coraz dalej od początku końca
ślady sfruwają jak nocne motyle
i wszystkie mosty zerwane – nić pajęcza

Więc natęż wzrok
i czujność wypręż do skoku
Czerwone błazny losu
zakładają coraz to inne maski
Słońce – lampa w sali szpitalnej
a twoją dłoń rozwartą światłem
skurczy mrok
I nie wiadomo kiedy to spadnie
czy w kropli deszczu – więc jak na deszcz
czekać
czy w blasku słońca –
niech nie kusi promień
a może w nocy?
Więc naostrzyć wzrok

Tak drzewo czeka na PRAWDĘ

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Tryptyk muzyczny

Viola da gamba

w hołdzie filmowi Wszystkie poranki świata

smyczek twój, mistrzu
zbiera ze strun dźwięki
skłania do współbrzmienia
choć chciałbyś grać ku zatracie
instrument na to nie zezwala
viola da gamba
trzyma cię w prawidłach
życia

tam gdzie *Requiem*
wypełnia przestrzeń
otwiera się przejście
dla zmarłej
zawsze powraca
obleczona w ciało muzyki

Ballada jazzowa

Maurycemu

wyfruwasz ze mnie
puch młody cię niesie
coraz dalej
piórka nastroszone

i wracasz
da capo al fine
nuta po nucie
bo pisany nam dom
nie z kamienia i nie z dymu

dziś w programie koncertu
More Love
saksofon i kontrabas
pochwyć więcej miłości
na niewidzialny fundament

Trąbka

śp. Henrykowi Majewskiemu

gdy trębacz odchodzi
jego trąbka milknie
na zawsze
światło złota pełne
zmierza
do krainy wiecznej muzyki
jak oręż za poległym w bitwie wojownikiem

jego trąbka milknie
bez warg wibrujących
bo tylko jeden mistrz
daje życie
temu jedynemu brzmieniu

Maria Jolanta Piasecka

Małgorzata Karolina Piekarska

Przejście

Pamięci Jerzego Górzeńskiego

Ze świata do świata
Idzie poeta
Trzy łyżki jogurtu
Jeden sen
Rwany
Dwa łyki wody
Jedna kroplówka
Żona błada jak pusta kartka
Poprawia poduszkę jak Bóg chmurę
Jeszcze łyżka jogurtu
Jeszcze dwie
„Zjedz Jurku za koleżanki”
Za mamę i tatę za późno
Odeszli wcześniej
Czekają
Torują przejście
Niepotrzebny obol
Na dobre uczynki
Wystarczy dobry wiersz

10 października 2016

Krzysztof Saturnin Schreyer

Gdzie mnie prowadzisz wierszu?

Gdzie mnie powiedzisz wierszu?
i czym mnie ukołysziesz?
niech dzisiaj ciebie usłyszę,
niechaj zapomnę o sobie.

Niech o swej woli zapomnę,
o ciężkich snach i kłopotach.
Poprowadź mnie w inne światy,
do których woła tęsknota
dziwna, z ślepymi oczyma.

A może tylko mi chodzi
o drogę, na rytmu skrzydłach
i aby myśl niedościgła
wciąż niedościgłą była?

Poezjo, przygodo dziwna,
gdzie mnie prowadzisz i po co –
na trakty światłem oblane?
czy w kose zasadzki nocy?

25.06.2021

I znów

I znów trzeba walczyć z chmurą zwątpienia
jak wszyscy, co poprzez wieki
swe głowy siwe, myślami pełne
i swoje ciężkie powieki
unoszą z trudem w godzinie świtu,
gdy przyszłość niesie pytania
o krótkość bytu, o lekkość bytu,
wyblakłe już dokonania.
Ciało me obcym stopniowo się staje,

a tyle dawało radości,
ta rozkosz biegu, ta rozkosz siły!
Tęczowe cele przyszłości,
które przepadły? Które się ziściły?

Wielkie rojenia nabrawszy ciała
jak myszy się rozbiegają –
coś pozostało, coś się spełniło,
lecz trzeba, trzeba iść dalej.

Więc podnieś głowę i otwórz oczy
na fragment bezkresnej rzeki.
Po mnie tysiące, za mną tysiące,
tak było, będzie przez wieki.

11.05.2021

Nie śpisz?

Nie śpisz i zasnąć nie możesz?
Chodź do mnie i połóż głowę
na mojej piersi, a wtedy
snu furtkę tobie otworzę
i bicie serca miarowe
oczyści z trucizny lęków.

Nie śpisz? Ja także nie śpię.
Twa głowa na mojej piersi,
twój oddech mnie cicho pieści,
północ, na sen jest za wcześnie.

04.01.2021

Niezwykła chwila

Różne być mogą niezwykle chwile,
z radością i uniesieniem.
Wystarczy tyle i tylko tyle,
że nagle znika cierpienie.

Bieleją brzozy, srebrzyste duchy,
jak rozrzucone organy,
a las milczący, las zasłuchany,
z dębem na skraju w bezruchu.

W płucach wilgotny zapach jesieni,
chłód dziś łagodny i leśny,
zagle wierzchołków płyną w przestrzeni,
zbołały człowiek jak we śnie,

bo czy realne jest to wrażenie,
że słabe, zmęczone ciało
w brzozowym lesie z wiatru westchnieniem
od ziemi się oderwało?

Radośnie, lekko wśród drzew swawoli,
i pień otacza ramieniem
czując z ogromnym, cichym zdumieniem,
że nic już, nic już nie boli!

17.10.2020

Pył marzenia

Dlaczego pośród chwil strapienia
błysk szczęścia nie do uwierzenia?
Drzewa przemokłe i wiosenne,
w kałużach blaski słońca zmienne,

a gdzieś na końcu tej alejki
majaczy postać czarodziejki.
Ręką rozsiewa pył marzenia –
może tej wiosny do spełnienia?

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Czwarta fala

Droga pani Nochalska
z narzędem wężu sterczącym jak u Pinokia
poza maseczkę z cekinami i wyszywankami
ze wzrokiem utkwionym w sufit autobusu
kiedy z taśmy po raz enty leci tekst „usta oraz nos”
zabierze cię czwarta fala

nieustraszony kozaku
który gwałtownie wchodzisz do tramwaju bez maski
z twarzą ponurą i zawziętą
zaczepnie omiatasz wzrokiem wagon
nie ma odważnych nikt ci nie podskoczy
ale zabierze cię czwarta fala

i ty super modelu hipokryzji komunikacji publicznej
w młodzieżowym wieku Sturm und Drang
albo w emeryckich zmarszczkach
z maską na czole lub na brodzie
zajęty myślami o przyszłości
zabierze ci ją czwarta fala

co ma począć natura
matka ale surowa i nieznająca litości
z Nochalską
z kozakiem
i z hipokrytą
musi ich mocno przytulić do ziemi
czekam na malarza który uwieczni ten taniec śmierci
w maskach nie tam gdzie trzeba
bez masek
i z wystającym nosem

Pożegnanie

Dedykowane nieprzyjaciółom (K.G. i K.B.)

Myślałem że to wypadnie uroczyście
pozdrowienia uściski coś bardzo osobistego
a przynajmniej piwna noc która się nie kończy
w końcu było tego ze czterdzieści lat

koniec naszego świata był
jak wszystko wokół bardzo pospolity
spóźnione i chaotyczne informacje
usprawiedliwione usprawiedliwienia
jedno krótkie widzenie jak w więzieniu
czas minął i pospieszne rozbieganie się

a potem obruszanie się na moje zdziwienie
że „tylko tyle i bez przyszłości?”
złośliwe riposty i znane zanęty
i konsekwentne odmowy odnowy
skrywane w tuzinkowej deklaracji
„jestem otwarty”

jak wejście do supermarketu
jak stodoła na wietrze
jak mieszkanie bez lokatora
jak piwo po trzech dniach

Jerzy Śleszyński

Grzegorz Walczak

Wśród garbów skalistych¹

(tryptyk)

Zaczajony o świetle
na swojego Boga,
przystajesz zziębnięty
wśród garbów skalistych.
Góry ciepłe wielbłądy
wędrują w obłokach,
zza których się wychyla
słońce krzew ognisty.

A ty wciąż odmawiasz
litanię swych zachcianek małych,
nie widząc, jak potoku
spadają poszeptne kryształki,
nie czując, jak oddycha
tratowana Ziemia,
jak Tatry falują,
kiedy halny śpiewa.

I nagle w aksamitnej ciszy,
gdzie się w lustrze nieba
odbija ten nasz świat cały,
nikły punkt dostrzegasz.
A to przecież ty
– taka drobna bestia –
co z toporem krzyku staje ponad halą
i kaleczy wiecznych gór majestat.

A mógłbyś tu przystanąć niegolony, bosy,

1 III nagroda 50. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Tadeusza Staicha na wiersz o tematyce górskiej w ramach Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich, Zakopane, sierpień 2021.

otulony przedświtu łagodnymi snami
i poczuć na wargach smak porannej rosy
nasyconej mgłami.

Czy ty nie rozumiesz,
że to wszystko wokół,
to On, na którego czekasz,
skryty w kosodrzewinie, w sarnie, w orla oku.
Tylko pomyśl, ile tobie dano,
byś mógł się zadziwić,
że znów wstaje słońce,
kiedy wyjdiesz rano
i zobaczyć, że jest, wciąż jest ten sam krzyż na Giewoncie.

* * *

Wysokością odurzony
jeszcze trwam,
a łąki nieba ścięte szronem.
myśl dojrzewa.
...Idę w góry
pośród szczytów obłąkitnieć.
Jak zatracić się – to całkiem,
w pełnym świetle, krystalicznie.

* * *

I pochyliły się wierchy nade mną,
nad moim żalem,
ciemniejszym niż wszystkie noce,
i z ogromniałe świerki
zamachały niespodzianie
srebrnymi skrzydłami.
Ruszyły na mnie niby
las Birnamski.
Błędne cienie splątały mi nogi.
Iść chciałem, nie mogłem.
Góry zastąpiły mi drogę.
I wtedy zapaliły się wszystkie
gniazda pamięci.

Wszystko to, co od dawna
skrywałem pod czaszką, wypełzło
w przeraźliwym świetle
zimnego Księżyca.
Poczułem w piersiach pustkę,
ale zaraz wypełniła ją trwoga.
– *Nie lękaj się* – usłyszałem,
tracąc przytomność, a może nadzieję.
– *Nie lękaj się* –
Znów złapałem powietrze.
Skąd ten głos? Nikogo.
Wiatr tylko popychał słońce,
tocząc je po krawędzi rozbitego zbocza.
Przez chwilę byłem po tej drugiej stronie.

Grzegorz Walczak

Jerzy Marciniak

Nagrody twórcze do zwrotu

Literat na początku kariery uważany był za mniejszego Melchiora Wańkowicza i w niektórych kręgach nazywany poetą reportażu. Wskazywano przy tym na jego teksty o Polesiu czy Brzławszczyźnie. Profesor vel Krytyk Teatralno-Literacki, autor wstępu do jednej z jego książek, nazywał go prozaikiem i eseistą. Niewykluczone jednak, że tak do końca to Literat nie był żadną z tych postaci. Miał miłą aparycję, kilka nowych, popoprawianych życiorysów i to zjednywało mu redaktorów w czasopismach literackich i pismach uważających się za takowe. W czasach PRL-u był, jak i dziewięćdziesiąt dziewięć procent dzisiejszych twórców, bardzo prześladowany przez czerwony reżim, czyli otrzymywał honoraria za wszystko, co wydrukował, stypendia twórcze, Ministerstwo Kultury finansowało mu wyjazdy zagraniczne i często mieszkał w pałacu w Oborach czy Radziejowicach, gdzie jadł dobrze. Prawie za darmo.

W Radziejowicach powstało jedno z jego opowiadań. Tak przynajmniej wynikało z adnotacji napisanej kursywą pod tekstem. I było ono wyjątkowej urody, a nawet piękności. O żołnierzu leśnym, który po wojnie nie chciał wracać do swojej dziewczyny, tylko samotnie mieszkał w zagajniku. I o pająku, który wczesnym świtem zsuwał się z liści paproci, cicho podchodził do niego i cerował mu pajęczyną dziury w żołnierskich spodniach. O kroplach rosy pochylających łodygi traw i pierwszych promieniach wstającego słońca wbiegających między drzewami w głąb lasu. I szeleście liści, że czytając, słyszało się szeptane wyrazy. I śladach żołnierskich stóp na polanie tych, którzy nie dobiegli do niej, tylko polegli na łące przed lasem.

Widywano go wtedy z poetką sporo starszą od niego i niektórzy nadmieniali, że ona mogła maczać stalówkę w kałamarzu, a później prowadzić jego rękę po białym papierze. Może było tak, a może nie do końca tak. W każdym razie ich znajomość przypominała wyschnięty strumyk po burzy. Kamienie leżące na dnie i wodorosty bez życia. Nagły poryw wiatru, oberwanie chmury i rwący nurt zabierający z dna pokryty kurzem piach. A potem dalekie zygzyki odchodzących grzmotów i powracanie pustego dna.

Po kilku dniach poetka zniknęła. On chyba nie chciał się z tym tak do końca pogodzić, bo wiele, wiele razy podchodził pod jej pokój i cicho pukał w drzwi.

W kieszeni marynarki miał kartki zapisane do połowy drobnym piśmem.

W stanie wojennym Literat, tak jak Profesor/Krytyk oraz co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent dzisiejszych twórców, był bądź internowany, bądź ukrywał się przed czatującymi na niego oddziałami ZOMO. Co działo się z nim rzeczywiście w stanie wojennym, dobrze nie wiedział albo nie pamiętał, bo na przestrzeni lat różnie o tym mówił i pisał. I ta utrata pamięci to był jeszcze jeden dowód jego martyrologii, poświęcenia dla Ojczyzny i Literatury oraz nikczemności czerwonego reżimu.

Jego minipowieść, czy raczej długie opowiadanie o głodzie dzieci w Afryce *Ted walczy z głodem*, było albo esejem politycznym, albo tekstem antypatriotycznym. Zdaniem wielu, niezbyt dobrze napisanym. Z drukiem fragmentów nie miał kłopotu, bo zawierało niekończące się pochwały pod adresem lokatorów Białego Domu. A teatr, gdzie Krytyko-Profesor był kierownikiem literackim, zapowiedział realizację sceniczną tekstu.

Głód dzieci był tematem często poruszany w literaturze i twórczości filmowej, bo dobrze się sprzedawał; nawet gdy poziom artystyczny też był głodny. Sposoby niwelowania tego zjawiska były różne. Szwedzi dostarczali tam żywność, lekarstwa i urządzenia do budowy studni głębinowych. Duńczycy, Norwegowie i Islandczycy tak samo.

Literatowi najbardziej podobał się sposób amerykański. Najprostszy i najczęściej przez nich stosowany, czyli dostarczanie darmowego uzbrojenia i materiałów wybuchowych każdemu, kto chciał strzelać i podkładać bomby. Nie wszystkim w świecie literatury przypadało to do gustu. Jednak nikt nie chciał go krytykować, bo powszechnie uważano, że nie po to został obalony PRL, żeby teraz mówić prawdę o przyjaciółach.

Niektóre litery w wyrazach minipowieści Redakcja wydrukowała dużymi literami z uwagi na ich wysokie walory artystyczne i polityczne: „...w górze błękit A Na Dole tRwały ZabójczE Jemeńskie dni... upał, że drzewa usłyszały, a w gardle To Obrzydliwie Coś Harczało i Ujadało Jazgotliwie, więc bohater powiedział, że jeden był jedną nogą na tAmtym świecie, ale Gdy zAłaTwił mu się w ustA, To On jak sPRinter pObiegnął do STarczYć Tym tUbylcom Trotyl, Amunicję i pisma pornograficzne na kredowym papierze, gdyż z braku żywności byli już praktycznie martwi”. Po

tym wyimku kolejne strony w czasopiśmie pisane były w sposób podobny: „...widział Dobrze, cO mi Nagle stAło się w gardLe, więc Dodał, to napluje ci skutecznie, konkreTnie i dObrze w srodeK Ust za sto dolaRóW, A jak nie mam tyle, to doceni nasz wkład w rozbrajanie Iraku z nieistniejących głowic atomowych i odda mocz mi w gębę taniej. Po czym obniżył stawkę na dziewięćdziesiąt. Weszliśmy w krzaki, odliczyłem walutę kraju zaprzyjaźnionego, przykucnąłem i Ted zrobił swoje. Po tym byłem szczęśliwy i nabrałem takich sił intelektualnych, że skrzynkę z granatami przerzucałem z ręki do ręki jak piłeczkę od tenisa, a tabliczkę mnożenia pamiętałem bez zająknięcia w tył i przód oraz trochę w bok”.

Dokonania twórcze przyniosły autorowi też Nagrodę Miesiąca.

Profesor vel Krytyk literacki i teatralny był z wykształcenia filologiem klasycznym, a przez jakiś czas studiował jako drugi fakultet fizykę. Pracę w Instytucji Literatury rozpoczął w rok po ukazaniu się jego debiutanczkiego tomiku poezji. Jak nieraz podkreślał, miał po ojcu sporo różnorodnych książek. Z których wiele przeczytał. I jak zwykły mawiać, nie był z nadania POLitycznego vel POczerwcowego albo jakiegoś POdobnego, tylko otrzymał ten zaszczyt za zasługi naukowe, które w najbliższych latach zacznie realizować.

Przed Laudacją dla Literata Krytyk/Profesor spotkał się na korytarzu teatru z paroma artystami pióra. I powiedział co nieco o tym, co będzie mówił oraz nieco co o polityce kulturalnej instytucji kultury. Z akcentem na dokonania sceniczne ostatnich lat. Widać było, że swoją misję traktował poważnie, bo ubrany był wytwornie. Nowy i dobrze skrojony garnitur, elegancka biała koszula, muszka i złote spinki w mankietach.

Tekst o Tedzie i pomocy Amerykanów w szybkim i skutecznym rozwiązaniu Głodu w Afryce poprzez darmowe dostarczanie nowoczesnej broni i materiałów wybuchowych Krytykowi/Profesorowi chyba się podobał albo nie był nim zachwycony, ale wykazywał patriotyzm POczerwcowy i chwalił w ciemno. Trochę mylił fakty i imiona bohaterów, a chwilami wyglądał tak, jakby przybrał postać Sprawiedliwej Temidy i czytał teksty Literata z opaską na oczach. Jednak docierał nieraz do istoty rzeczy i można było z grubsza zrozumieć, o co mu chodziło.

Krytyk vel Profesor przez dłuższy czas miał kłopoty z publikowaniem swoich prac naukowych, ale z czasem zaczął coraz częściej używać języka wypracowanego i wypromowanego po Pamiętnym Czerwcu i stanął na nogi.

Profesor/Krytyk zasiadł za stołem na Scenie Kameralnej, poprawił muszkę i popatrzył po znajomych twarzach na widowni. Jak wynikało z ich aktualnych życiorysów, co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent odbiorców jego wiedzy i przemyśleń było niszczone przez Czerwoną Cenzurę. I co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent dostawało ciągle odmowy wydania paszportu, co uniemożliwiało im wyjazdy w celu podpisania lukratywnych umów na wydania książek. A najwięcej odmów mieli ci, co często za granicą bywali. Dodało mu to otuchy, więc podciągnął nieco mankiety ze złotymi spinkami i rozpoczął spokojnie, konkretnie i treściwie.

– Minipowieść vel opowiadanie jest, k..., dobrze napisane, bo daje pozytywny przykład uczciwości autora... są twórcy, którzy przez lata mieli, k..., wydawane książki w wielu krajach za pieniądze podatnika, a później pluli, k..., na niego, bo chcieli dostać nagrodę za granicą... robili tak, bo dobrze, k..., wiedzieli, że twórczość mają słabą i plucie, to jedyna szansa, a nasz bohater oficjalnie, k..., tego nie robił.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent słuchających wstało i rozległy się rzęsiste brawa dziewięćdziesięciu dziewięciu procent dłoni. Mówca podziękował skinieniem siwiejącej głowy i wzruszył się, że zaczął mówić z przerwami, a miejscami jakby gubił wątek.

– Ameryka, k..., jest, odwrotnie niż Związek Radziecki czy Rosja, Ojczyzną Praw Człowieka i widać to na każdym kroku... Ted załatwił się, k..., w usta potrzebującemu pomocy, bo go, k..., szanował zgodnie z ich systemem wartości..., a Ruski może, k..., próbowałby poczęstować go samogonem lub gruzińskim czajem, który ma zły smak, ale im smakuje dobrze, bo, k..., przypomina o Józefie Stalinie... dziewięćdziesiąt dziewięć procent drukowanych, k..., dzisiaj tekstów literackich nie jest objętych honorariami i jest to, k..., nasze wielkie zwycięstwo, bo dowodzi, że zerwaliśmy trwale ze złym PRL-em... język literacki, którym autor posługuje się, k..., przy podkreślaniu naszej przyjaźni z Ameryką jest przyszłościowy, a co do opisów Głodu w Afryce jest dodatkowo stricte naukowy... niektórzy, k..., mówią, że w tym opowiadaniu prawie nie ma języka, tylko puste usta, inni twierdzą, że tam tylko dziaśła, parę spróchniałych zębów i na scenę to się nie nadaje... ja twierdzę z autorytetem naukowca, że te opinie nie mają, k..., racji, bo mieliśmy utalentowanych twórców jak Adam Mickiewicz, Cyprian Kamil Norwid, Juliusz Słowacki czy Józef Ignacy Krasiński, więc powinno to, k..., wystarczyć i teraz winniśmy myśleć o lepszej przyszłości naszej kultury... zresztą jak widać, ja nie utknąłem, k..., na mieliźnie, tylko płynę ku innym, naukowo lepszym czasom, bo mój

język też, k..., jest pewnym novum w procesie kontemplacyjnym, nowym bytem filozoficznym i teatralnym... a poza tym, jak aktorzy, k..., będą przez większą część sztuki grali nago, to tekst nie jest, k..., taki ważny.

Musiało to podobać się większości, bo co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent słuchających przytaknęło. To poparcie dodatkowo wzruszyło mówiącego, bo zaczął jeszcze bardziej się gubić i robić coraz dłuższe przerwy.

– Niektórzy mówią, że nagrody literackie przyznawane są, k..., w ciemno i gdyby jurorzy przeczytali twórczość laureatów, to połowa nagród byłaby, k..., do zwrotu... w swoich tekstach autor, k..., daje nam dużo optymizmu, dla przykładu pisze, że Amerykanie, k..., strzelają z helikopterów wojskowych do dzikiej zwierzyny w Iraku, Jemenie czy Somalii, co jest, k..., lepsze niż ciągle strzelanie do niewinnych ludzi... dlatego jako naukowiec z dużym dorobkiem politycznym, a w przyszłości i dydaktycznym uważam, że ta twórczość jest wybitna... pokazuje to też, że obalenie PRL-u oraz przeorientowanie, k..., polityki na Zachód było słuszne... a teatr nie powinien wypinać się, k..., na to co wartościowe... wiele osób, k..., mówi, że jak się czyta recenzje teatralne czy słucha takich w radiu, to wygląda, k..., na to, że mamy najlepsze teatry w Europie, ale jak się patrzy na to co, k..., na scenie, to wygląda, że jesteśmy, k..., na szarym końcu, więc ja, k..., zapewniam, że adaptacja tego tekstu będzie miała i dobre recenzje, i, k..., dobry odbiór widowni... jak, k..., dostaniemy za spektakl nagrodę za granicą, to, k..., na poważnie zastanowimy się nad zwrotem części dotacji.

I znów dziewięćdziesiąt dziewięć procent głów przytaknęło.

– Mieliliśmy reportażystę, który, k..., pisał autentyczne reportaże o Cesarzu jednego Afrykańskiego kraju, w oparciu, k..., o autentyczne wypowiedzi jego dworu, chociaż tam praktycznie, k..., nie był, więc dobrą literaturę faktu można, nie wychodząc z domu, wystarczyć tylko, że bierze się, k..., udział w pochodach pierwszomajowych i popiera władzę... teraz mamy, k..., literaturę światową, bo jak polski podatnik, k..., zapłaci, to możemy wydać książkę w każdym kraju... a jak dołoży coś extra, to i dobra recenzja ukaże się, k..., w dobrej gazecie... Literat pisze też i o Białorusi, bo tam mieszkali jego przodkowie... o sąsiadach zza Buga pisze, k..., dobrze i prawidłowo, czyli przedstawia ich w złym świetle, według aktualnych, politycznych potrzeb... a ich balet, który, k..., jest prawie tak dobry jak rosyjski, to, k..., w jeszcze gorszym... podkreśla też, że polski Minister Spraw Zagranicznych, Ostatnia Dama i marszałek Senatu, k..., nie rozumieją, dlaczego jeden ze Związków Polaków na Białorusi działa, k..., w podziemiu,

a tamtejsze władze nie chcą, k..., go zalegalizować... a sprawa jest, k..., prosta, legalizacji nie chcą ci prześladowani, bo jakby go zarejestrowali, to musieliby, k..., chociaż trochę rozliczać się z tego ogromu pieniędzy, który, k..., do nich płynie z Polski czy międzynarodowych fundacji... i widzimy tutaj, k..., jakim dobrym psychologiem i specjalistą od podatków jest Literat... dokonania artystyczne u nas po upadku PRL-u są, k..., dobre, bo utrzymujemy poziom tylko o połowę niższy niż za komuny... niedaleko mojego domu żebrał, k..., Rumun i jak padał deszcz, to przenosił się pod zadaszenie obok wejścia do teatru, więc niektórzy pytali go, k..., czy interesuje się sztuką... on odpowiadał, że teraz, k..., nie, bo spektakle są słabe i jak tylko się rozjaśni, to wróci, k..., na swoje miejsce... więc adaptacja sceniczna tego tekstu musi się, k..., udać... a wniosek z tego wszystkiego jest, k..., taki, że wszyscy na tej sali byliśmy w mniejszy lub większy sposób prześladowani, k..., przez Czerwonego!

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent siedzących wstało i rozległy się brawa dziewięćdziesięciu dziewięciu procent dłoni.

– Literat w opowiadaniu o Tedzie nie pisał, k..., o wizycie ambasadora USA w Iraku, przed którą usunięto, k..., z przestrzeni publicznej dzieci-inwalidy wojenne, żeby ambasador nie czuł, k..., się źle...

Krytyk vel Profesor zakaszał i jakby zakrztusił się trochę. Popatrzył takim zniewalającym wzrokiem na stolik przykryty zielonym suknem. Stała na nim puszka z napisem Pomoc Humanitarna i zdjęciem czarnego chłopca siedzącego w korycie wyschniętej rzeki. W środku było sporo monet i kilka banknotów. Obok puszek stała szklanka wody. Krytyko-Profesor spojrzał po twarzach zebranych i sięgnął po szklankę.

– Nie będę, k..., czekał na Teda.

Popił i uśmiechnął się. Kilka osób zaklaskało.

– Literat vel Reportażysta jest, k..., nieobecny, bo w Afryce zbiera materiały do nowej książki... ja niedługo dołączę do niego, bo jestem członkiem delegacji, która, k..., zawiezie naszą Pomoc Humanitarną... teatr do tego, k..., nie dopłaci, bo jadę tam, k..., na koszt obdarowanych, oni wezmą, k..., pożyczkę z banku europejskiego, to będą, k..., mieli pieniądze, żeby zapłacić.

Znów rozległo się kilka braw.

– Przyznanie Nagrody Literatowi vel Reportażysty było, k..., bardzo słuszne, bo wrażliwość na ludzki głód jest, k..., godna każdej ceny... decyzja o adaptacji scenicznej też jest, k..., strzałem w dziesiątkę... trzeba jeszcze powiedzieć, k..., o jego postawie moralnej... mówi się nieraz, politycy,

k..., straszą nas Rosją i Białorusią, żeby mieć, k..., uzasadnienie do kupowania amerykańskiej broni za nasze, duże pieniądze... więc, k..., mówię, ten casus na scenie nie wystąpi... nie wspomnimy też o sławnym dziennikarzu w Skandynawii, który jakby tworzył lewą i prawą ręką, bo jak siada do komputera i pisze, to jest to, k..., język bardzo słaby, a jak ukazują się jego teksty w gazetach, to jest to język, k..., bardzo wysublimowany i górnolotny... podkreślam, ja dobrze wiem, co na scenie należy, k..., pokazywać.

Popatrzył po zebranych, jakby szukał w ich spojrzeniach czy gestach potwierdzenia. Jakby chciał się przekonać, że oni dobrze zrozumieli jego sugestię o znanym dziennikarzu, któremu po ślubie z dużo starszą pisarką natychmiast druga prawa ręka wyrosła.

Za oknem widać było nadciągającą burzę. Sine chmury pęły coraz niżej nad miastem i coraz niżej. Nieruchome do tej pory gałęzie drzew na skwerze zaczynały ruszać się, falować i dawał się słyszeć skrzyp konarów starych dębów i lip. Wiatr nagał coraz ciemniejsze i ciemniejsze wilgotne chmury. A w dalekim horyzoncie tkwiła już tylko czerń.

– Oni, k..., w Afryce to by się cieszyli na taki widok, bo jak ostatnio byłem tam, k..., z delegacją rządową zawieźć dary, to niektórzy, k..., mówili, we are, k..., waiting for rain... dyrektor teatru w Poznaniu, o orientacjach erotycznych, k..., takich czy innych, najął, k..., reżyserkę, co ma w przedstawieniach mało, k..., arcyzmu, a dużo nagości, i ona zrobiła, k..., spektakl pod niego... aktorzy grali, k..., na golasa, to dyrektor żadnej próby, k..., nie opuścił, tylko siedział, k..., w pierwszym rzędzie i patrzył, k..., jak kogo natura obdarzyła... nasz spektakl będzie, k..., grany przy podniesionej kurtynie, ale na zakończenie kurtyna pójdzie w dół i każdy będzie mógł, k..., odgiąć róg i zobaczyć coś ekstra, bo zaangażowaliśmy, k..., aktorów do specjalnych zadań artystycznych, nazywanych, k..., przez niektórych aktorami porno...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i weszła asystentka dyrektora teatru. Pochyliła nieco głowę w ukłonie i uśmiechnęła się zalotnie.

– Dzwonili, k..., z Ministerstwa Kultury i mówili, że przyznali nam, k..., dotację na wyjazd ze spektaklem na festiwal do Avignon i Toronto, ja im, k..., grzecznie podziękowałam, żeby, k..., mieli o nas i teatrze jak najlepsze, k..., zdanie.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i cicho wyszła.

Profesorowi/Krytykowi Teatralnemu musiało się to spodobać, bo zaciśnął mocno pięść i na wysokości twarzy potrząsnął nią kilka razy. Tak dla wyrażenia radości i wygaszenia emocji.

– Ostatnie moje zdanie, nasz dyrektor będzie, k..., przychodził na co drugą próbę, bo my, k..., jesteśmy teatrem porządnym, a spektakl będzie, k..., taki albo inny, ale najważniejsze jest, że braku troski o teatr i braku patriotyzmu, to, k..., nikt nam nie zarzuci.

Uśmiechnął się i popatrzył, jak na szybie pojawiać zaczęły się pierwsze krople deszczu. Osiadała jedna przy drugiej, jedna przy drugiej, tkwiły chwilę lub dwie, a później zmieniały kształty, wydłużały się, rozciągały, łączyły, łączyły i spływały w dół jak łzy po policzku niechcianego dziecka.

Profesor/Krytyk wstał i uklonił się.

– Dziękuję, k..., za przyjście.

Stolik z Pomocą Humanitarną postawił przy wyjściu i podszedł do okna. Słyszał jak za jego plecami zaczęły rozlegać się brawa. Po chwili kilka osób podeszło do niego i niektóre poklepały go ciepło po ramieniu.

Wiatr giął drzewa w ukłony, trzeszczały wyschnięte gałęzie lip i skrzypiały wiekowe konary dębów. Coraz większe krople deszczu rozpryskiwały się i roztrzaskiwały na chodniku. A tuż przy oknie rozlewała się szeroko kałuża. I widać było, jak jedna kropla doganiała drugą, popychały się, wpadały w kałużę, tworząc kółka na jej zmarszczonej wiatrem powierzchni. Jedno na drugim, jedno na drugim i na wierzchu jeszcze jedno.

Krytyk/Profesor włożył Pomoc Humanitarną do teczki i ruszył szybko za wychodzącymi z sali.

Jerzy Marciniak

Wiesława Oramus

Pani od trudnych spraw

Przywitały ją złowrogie spojrzenia i wymowne milczenie, brak jakiegokolwiek reakcji na jej „dzień dobry”.

Stała obok kserokopiarki, czekała na rozwój sytuacji.

– Dobry, jaki dobry? Może dla kogoś dobry – powiedziała po chwili ostrym tonem szefowa, machnęła ręką i oznajmiła, że nic tu już po niej i wraca do siebie. Jednak nie weszła do sąsiadującego z sekretariatem swojego dyrektorskiego gabinetu, stała na progu, oparta o framugę drzwi.

– To nasza pani od trudnych spraw – przedstawiła ją sekretarka starszej kobiecie, tak drobnej i małej, że prawie niewidocznej zza pleców Helenki, usadowionej na krześle, i Hani obok. Te krzesła, biurko sekretarki, pielęgniarka przy oknie, woźna przy ścianie na prawo od drzwi do sekretariatu tworzyły krąg, zamykający w nim staruszkę, chroniący przed ciekawskimi spojrzeniami przechodzących przez korytarz, wchodzących i wychodzących z sekretariatu.

A sam wygląd staruszki mógł wzbudzać różne reakcje, zwłaszcza młodych, wbrew pozorom najmniej tolerancyjnym dla czegoś, co odbiega od ich wyobrażeń o normalności. Miała na sobie płaszcz, szczyt szyku sprzed pięćdziesięciu lat, kapelusik z piórkiem, mocno sfatygowane adidasy, markijaż nastolatki z epoki wczesnych Beatlesów.

– Ktoś panią skrzywdził? – zapytała.

– Nie panią, chociaż... Jeżeli krzywdzi się wnuczkę, to cierpienie może być większe, niż gdyby dotknęło... babcię – wyjaśniła i pouczyła ją Helenka.

W ostatniej chwili ugryzła się w język i nie zwróciła uwagi Helence, że nie ją pytała i że ma już dosyć jej „lepszego rozeznania w trudnych sprawach niż ludzie na posadkach do tego utworzonych i biorących za to pieniądze”.

Zaproponowała przejście do jej gabinetu, ale staruszka rozplakała się. Sekretarka podsunęła jej pudełko z chusteczkami higienicznymi, pomogła wyjąć jedną, potem drugą, trzecią.

– Kiedy mnie tu dobrze, tak dobrze, a tam to za daleko, po schodach, a nogi już nie te, bolą. I serce boli i kolana – staruszka wycierała nos, oczy, rozmazując makijaż i wyliczała swoje powody i cierpienia. – A młodzi pędzą, pędzą, nie widzą starego człowieka, nie uszanują jego cierpienia.

– Pani musi zadzwonić na policję – pouczyła ją Helenka, a staruszce podsunęła lusterko. – Pani poprawi sobie makijaż...

– Najpierw muszę się dowiedzieć, o co chodzi, co się stało.

– Prawdopodobnie jest to uprowadzenie nieletniej.

– Przepraszam, pani Heleno, ale chciałabym... – Może pani przedstawi problem? – zwróciła się do staruszki. Proszę o podanie imienia, nazwiska, adres zamieszkania wnuczki, klasę.

Imię i nazwisko staruszka podała bez zająknięcia się, numeru telefonu nie pamiętała, bo „ma zapisany w kalendarzyku, a ten zostawiła na szafce lub w szufladzie obok telewizora, a co do klasy, była pewna, że wnuczka jest maturzystką, a może licealistką, czyli będzie zdawać maturę, chyba w tym roku, a może za rok, może za dwa”.

Poprosiła o spis uczniów, sekretarka wyciągnęła go z szafy, położyła na biurku.

Pochyliła się, zaczęła wertować kartki. Okazało się, że w samych maturalnych klasach było pięć uczennic o takim samym nazwisku i imieniu, ale żadna nie mieszkała pod wskazanym adresem.

– Pójdę do siebie, bo widzę, że zajmie to trochę więcej czasu niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. A tu...

– A tu wskazany jest pośpiech, proszę pani – pouczyła ją tym razem plastyczka Hania.

– Co jej mogą zrobić? Co jej zrobili? Mogli przecież podać narkotyki, mogli pobić, zamknąć w piwnicy, uśpić, wyciąć nerkę, wywieźć za granicę w samochodzie, w bagażniku – wyliczała staruszka. – Nie dalej jak wczoraj wszyscy mówili o tym, że potrafią wstrzyknąć zastrzyk, ofiara zasypia, a wtedy...

– A co do kawy, drinka potrafią dosypać! – odezwała się znowu Helenka.

Nie potwierdzała, nie zaprzeczała, w końcu nie od dziś tu pracowała, a wcześniej w instytucji od jeszcze trudniejszych spraw.

Biologiczka Helenka chciała kontynuować, ale przerwała swój wywód, bo dostrzegła, że staruszka mdleje.

Pielęgniarka wkroczyła do akcji, zaczęła mierzyć puls.

– Przyspieszony, trzeba coś podać, jakieś lekarstwa pani przyjmuje?

– Takie kropelki... Jak one się nazywają? Tak jak święty, święty...

– Nie wiem, nikt mnie tego nie uczył – obruszyła się pielęgniarka; młoda, więc jeszcze nieoswojona z nietypowymi sytuacjami. – A o świętych to chyba nasza koleżanka z księgowości wie najlepiej. Poprosimy o konsultacje?

Dostrzegła przemykającego przez korytarz katechetę.

– Może pani – zwróciła się do woźnej – poprosić, podkreśliła to poprosić, a nie kazać mu tu przyjść?

– Jak szefowa mi każe.

– Szefowa każe – szefowa wydała polecenie już ze swojego gabinetu, bo jednak poszła do siebie.

Ksiądz powiedział „szczęść boże” i z pochyloną głową, w pokorze, jak od dnia, gdy przeczytał, że praca w szkole wpłynęła znacząco na długość życia duchownych, skraca je o kilka ładnych lat, słuchał.

– Ale to może o krople walerianowe chodzi, moja mama takie piła. A to o czym panie mówią... Może to jakaś sekta się znowu uaktywniła?

– Tak, tak... – staruszka ożywiła się, wstała z fotela, podeszła do księdza, chciała go chyba pocałować w rękę, ale to go wystraszyło, wybiegł jak spłoszony z pomieszczenia.

Pani od trudnych spraw miała już spis wszystkich uczennic o takim nazwisku i plan lekcji każdej z klas, w których były uczennice o takim nazwisku i imieniu.

Poinformowała o tym głośno.

– Może przez megafon wezwać? – zapytała szefowa.

– Nie, odradzam, będzie sensacja, a to może utrudnić rozpoznanie sprawy. Nikt nie zaprotestował.

– To ja teraz – zdążyła tyle powiedzieć, bo wtargnął historyk, stanął obok niej.

– Do ksero muszę się dostać.

– A zgodę ma? – zapytała sekretarka.

– Ma – potwierdziła szefowa.

Pani od trudnych spraw wycofała się z przestrzeni między biurkiem a ksero, chciała wyjść z sekretariatu, w którym było coraz ciasniej i głośniejszej, bo historyk, wściekły obsługiwał maszynę mało delikatnie, ale zatrzymała się, bo najpierw historyk zapytał: „co tu tak śmierdzi”, pielęgniarka powiedziała, że to te krople, które pani podała, a babcia stwierdziła, że to wszystko odór szatana. Uznała, że powinna tu jednak zostać.

– Niby co? – obruszył się historyk, zdeklarowany ateista, a więc posądzany już o esbeckie korzenie, chociaż zaciekle walczył z komuną, o pakt

z diabłem, i o to, że jako niewierzący po prostu nie jest człowiekiem, a przy najmniej w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Spokojnie, spokojnie panie Jacku... To nie o pana chodzi – uspokoiła go.

– Lucyferiańskie siły, wyszły z ciemności... Prowadzi ich Antychryst – kontynuowała staruszka.

Historyk mocniej naciskał na klawisz kserokopiarki, ale milczał.

– Będzie pan płacił z własnej kieszeni za zniszczony sprzęt – ostrzegł go głos szefowej.

– To będę. Pójdę do łopaty, do łopaty, zarobię w końcu tyle, że stać mnie będzie...

Pani od trudnych spraw wyszła z sekretariatu. Przy drzwiach przy tablicy ogłoszeń stał maltretowany przez żonę ojciec jednej z uczennic, który odwiedzał szkołę systematycznie, systematycznie był do niej odsyłany i systematycznie domagał się opinii ze szkoły dla opiekunek z MOPR-u, bo podobno żona donosiła im, że przepija wszystko, co rodzina dostaje, a potrafi nawet przehandlować na piwo bony na obiady do baru mlecznego.

– Bardzo przepraszam, nie mogę teraz pana przyjąć.

– Nic nie szkodzi, kierowniczko... Tylko może podpisik, że przyszedł do pani? – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął karteczkę, no i odślonił upchniętą do jednej z nich butelkę z piwem.

Nie skomentowała tego, bo usłyszałyby, że nie pił, że znalazł na ulicy, odniesie ją do skupu, będzie chociaż na bułkę. Złożyła podpis.

Na półpiętrze minęła ją Asia, była anorektyczka, która kiedyś rzuciła się na nią i chciała dusić za zdiagnozowanie anoreksji, a dziś... odpowiedziała uśmiechem na uniesiony do góry kciuk, czyli OK, super.

W pierwszej sali, do której weszła, Anna Nowak była obecna. W drugiej też.

Tu jednak sprawa rozpoznania sytuacji trochę się komplikowała, bo była to lekcja z wychowawczynią.

Ta wyszła za nią na korytarz i szeptem oznajmiła – cięża...

– Czyli ustawa o ochronie życia poczętego. Proszę ją przysłać do mnie, zostanie objęta wszelką opieką i poinformowana o prawach, jakie mają ciężarne uczennice, ale nie dziś... Nie dziś.

Na czwartym piętrze zatrzymała ją polonistka.

– Co się dzieje w tym sekretariacie? I co robi tam Helenka i ta druga? Znowu chcą cię w coś wrobić?

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiem, nie rozumiem, a sprawa prosta jak drut. Przecież ich dzieci kończą studia, bezrobocie szaleje...

– A, tak, rozumiem... Mam się sama zwolnić czy zostać zwolniona dyscyplinarnie? Za udowodnienie mi, że...

– A jakie to ma znaczenie. Posadka, ciepła posadka się liczy.

A Anna Nowak w sali na czwartym piętrze była obecna. Pozostały sale w drugim skrzydle budynku. Zbiegła po schodach, przeszła przez korytarz, rzuciła okiem na sekretariat, pomaszerowała w stronę schodów.

Na czwarte piętro w tym skrzydle jednak nie dotarła, bo poczuła ból w nogach. Przystanęła na drugim piętrze, przed swoim gabinetem. Dzwonił telefon. Wbiegła, odebrała. To był ten dziennikarz z lokalnych mediów, teraz przypominała sobie, że Helenka przechwalała się kiedyś, że ma w rodzinie dziennikarza. A więc... jest coś na rzeczy? Zarzucał jej, że nic nie wie o problemach z narkotykami uczniów w tej szkole. Dała mu kopię planu pracy.

– Ja przestudiowałem ten pani plan walki z narkomanią i mogę ocenić pozytywnie, chociaż...

– Nie podam panu żadnych nazwisk, na to proszę nie liczyć, ani nie namówię do udzielenia wywiadu.

Odłożyła słuchawkę. Ktoś zapukał, wszedł uczeń skierowany na badania do psychiatry po tym jak przyklejał żyłki taśmą klejącą do klamek i obserwował „piszczące z bólu dziewczyny”.

– Jestem normalny, o proszę, psychiatra tu napisał – powiedział, patrząc na nią z pogardą. Nie wiedział, że to wpłynęłoby na zmniejszenie kary?

– Zapoznam się z opinią, przyjdź jutro.

Właśnie w tej chwili pomyślała, że spróbuje inaczej, i kiedy uczeń z hukiem zamknął za sobą drzwi, wybrała numer, do tej uczennicy z czwartego piętra w tym skrzydle, bo taki był w spisie uczniów, ale staruszka nie była pewna, czy to ten.

– Dzień dobry. Anna Nowak?

– Tak, a o co chodzi?

Przedstawiła całą sytuację. Dziewczyna jęknęła: – I babcia znowu wstydu narobiła, bo pewnie naoglądała się jakichś filmów. Dzielnicowy nie chce jej już słuchać, więc poszła do szkoły.

– Przyjdiesz natychmiast, pokażesz się w sekretariacie i przeprosisz wszystkich. A wagary to już następny problem. Muszę kończyć – odłożyła słuchawkę.

Do gabinetu weszła woźna, powiedziała: – Musimy się ewakuować, był telefon o bombie, więc znowu przyjadą ci specjaliści. Szefowa powiedziała, że pani ma wyjść z tego skrzydła ostatnia i dopilnować porządku i spokoju. Nie ma końca głupoty na tym świecie.

– Oj, nie ma, nie ma.

Zabrała torebkę, kurtkę, wyszła za woźną, zamknęła drzwi na klucz.

KONIEC

Wiesława Oramus

Alicja Patey-Grabowska

Przez okno

*Zza firanki
jednym okiem
– Och!
– Ach!
czerwone przejęcie*

*I życie nabiera
smaku kryminału*

Dla niej dzień zaczyna się jak spektakl w teatrze, gdy tak spogląda zza lekko odsuniętej firanki przez okno, opierając się łokciami o aksamitną, zieloną, w białe groszki, miękką poduszkę leżącą na parapecie, obok doniczki z kwitnącą na czerwono pelargonią.

Każdy dzień jak kartka z pasjonującej książki, romansu, kryminału.

Jednopiętrowa kamieniczka, jeszcze przedwojenna, o dużych weneckich oknach, z płaskim dachem i szerokimi, dębowymi, pokrytymi brązową farbą drzwiami, mieściła dziesięciu lokatorów.

O każdym może coś powiedzieć, a jeśli nie, to snuć przypuszczenia, z którymi podzieli się ścisłym głosem, jakby w tajemnicy, z dwoma zaprzyjaźnionymi od wielu lat koleżankami, emerytkami, przy herbatce lub kawie i koniecznie z drożdżowym, własnego wypieku ciastem.

– O, idą – szepcze do siebie, odchylając bardziej firankę. – To nieprzyzwoite, w tym wieku objęci. Wzięli ślub? Czy nie?

On mieszka tu od niedawna, a ona dochodząca. On emerytowany inżynier. O niej nic nie wie. Musi koniecznie się dowiedzieć.

Jak ona może tak się ubierać – szepcze zgorzsona. – Rozpuszczone jak u młodej dziewczyny siwawe włosy, czerwony, długi szal, białe, wąskie spodnie.

On przynajmniej ubrany jak porządny człowiek. Szara marynarka, szare, szerokawe spodnie, nie jakieś tam dzinsy czy – jak to się teraz nazywa – legginsy. Idą objęci. Zgroza!

O, teraz wychodzi ta gruba lafirynda!

Ona sama jest chuda, raczej przypomina szkielet obleczony od chwili śmierci męża, trzydzieści lat temu, w czarną, tę samą, wełnianą, do pół łydki sukienkę.

Lafirynda prowadzi na smyczy białego pudła ubranego w zielony serdak. Jak zwykle pudel sika na trawnik. – Muszę koniecznie zgłosić do administracji – myśli – I to nasikał trzy razy. Musze zapisać dzień i godzinę. No i muszę powiedzieć o tych kotach w piwnicy.

Tak myśląc, sięgnęła do szkolnego zeszytu w linijki, leżącego na stoliku obok okna i długopis.

Zapisała: 20 maja, dziewiąta rano. Pudel – trzy razy.

– O, wychodzi ta panusia w czerwonym kapelusiku, doktorowa, z szarym, wyleniałym kundlem. Ciekawe, ile razy ten znów podniesie nogę.

Doktorowa pociąga za smycz, ale kundel już podnosi nogę. – Trzeba zapisać: 20 maja 9.15 – kundel doktorowej dwa razy pod akacją na podwórku.

No i wytacza się babsko z parteru. Z bachorami. Dwoje płacze się przy spódnicy, a trzecie w wózku. Co rok to prorok. Wrzeszczące bachory – powtarza z naciskiem, z odcieniem zawiści. Ona dzieci nie ma. A one, gdy wrzeszczą, trzeba zatykać uszy i zatrasnąć okno.

A teraz ten elegancik w czarnym garniturku, niebieskim krawacie z teczka. Zaraz wyprowadzi z garażu czerwony samochód marki Opel. Nieżonaty. Ale przyprowadza do mieszkania wciąż inne dziwki.

Ciekawe skąd ma pieniądze? Gdzie pracuje? Może to jakiś mafiozo? Musi koniecznie się dowiedzieć.

I tak chuda, podobna do czarnej wrony, z twarzą zniszczoną i zgorzniałą, siedzi cały dzień przy oknie z przerwami na szybki obiad.

W jej małym mieszkaniu, pokoiku z kuchnią, ale za to z wysokim sufitem, jak to w przedwojennych domach, nie ma regału z książkami. No, nie. Od niedawna na najwyższej półce postawiła trzy puste okładki kupione za parę groszy na miejscowym targowisku, z grubymi grzbietami, świecącymi złotymi brzegami. Tak, dla dekoracji. I to zawsze wygląda bardzo inteligentnie.

Ona książek nie czytała i nie czyta. Od czytania psuje się wzrok – stwierdziła. – Po co czytać, skoro życie jak książka?

Do pracy w sklepie kasjerce niepotrzebne czytanie, a mąż był złotą rączką, wszystko potrafił naprawić i na tym dobrze wychodził. Był dobrym dozorcą i z władzą też miał niezłe układy. Jakie? Nie wnikała.

No i tak potoczyło się życie. Dla niej teraz, gdy na emeryturze, bardziej ciekawe. Może wyglądać przez okno cały dzień, może obserwować, komentować. Koleżanki emerytki lubią do niej przychodzić. Ciasto smaczne, a tyle nowinek, wiadomości, jakby wyjęte z telewizora.

I mówi interesująco, szeptem, dozując napięcie, zawieszając głos aż podskakiwały z wrażenia i ciekawości.

– No i co, no i co?

– Gdzie?

– Kiedy?

– No też, coś takiego! – Pokrzykiwały między jednym kęsem ciasta i drugim.

Zeszyt pęcznieje. Zapisków coraz więcej.

Po co czytać, kiedy dokoła toczy się życie. Tak ciekawe. Och, jak ciekawe!

Alicja Patey-Grabowska

Antoni Pieńkowski

Dłonie

Za zwartą ścianą wysokich, strzelistych sosen rozciągała się rozległa równina, ginąca gdzieś daleko, u krańca widnokręgu. Ostre słońce wzmocnione bielą śniegu zatańczyło na masce samochodu, wcisnęło się do środka, na twarzach jadących, młodego mężczyzny i młodej kobiety, przybrało postać skaczących, migoczących plamek, kółeczek, zygzaków.

Zaraz za lasem asfaltowa droga zamieniła się w pasmo polnej drogi pokrytej cienką warstewką świeżo spadłego śniegu. Po jej obydwu stronach pojawiły się pojedyncze brzozy, rosnące tu i ówdzie bezładnie, chaotycznie, zaraz za pasmem drogi, tuż przy rowie. Drzewa były wiotkie, o rozwichrzonych koronach, odstręczały wzrok swoim rachitycznym wyglądem, natura z jakichś trudnych do określenia przyczyn pozbawiła je sielskości, dostojeństwa, tak właściwych brzozom.

Droga znienacka zmieniła kierunek, pobiegła w prawą stronę, w regiony bardziej zurbanizowane. Gdzieś niedaleko snop dymu snuł się prosto w niebo z komina małej fabryczki, której przyległe budyneczki majaczyły gdzieś daleko prawie u krańca krajobrazu. Tuż przed pierwszymi domami wsi droga biegnąca wśród pól i lasów, zagajników, przybrała kształt wygodnej szerokiej trasy komunikacyjnej. Po jej obydwu stronach, tuż na skraju skarpy rosły wysokie brzozy. Ich konary pokryte były grubą warstwą białego szronu, szczelnie oblepiały najdelikatniejsze gałązki. Te najsłabsze dotykały ziemi, zdawały się prosić o pomoc, o uwolnienie od tej ciężkiej masy białego zlodowaciałego puchu, tak szczelnie zakrywającego każdy zakątek ich powierzchni.

Janusz zdjął nogę z pedału gazu, samochód toczył się wolno. Był olśniony widokiem smukłych brzoź, tak dzielnie dźwigających na swoich konarach iskrzący się w promieniach słońca szron. Wodził oczami od drzew po lewej stronie, zatrzymywał wzrok na twarzy narzeczonej, zerkał na brzozy rosnące po prawej stronie.

– Piękny widok... Też jestem tym zachwycona – sentymentalna nutka nieśmiało zabrzmiała w głosie Barbary.

– Basieńka, ta aleja ciągnie się aż do wsi... – oznajmił.
 – Skąd wiesz?
 – Kiedyś w dzieciństwie często jeździłem tędy rowerem...
 – Sam? Czy kogoś wiozłeś na ramie? – w jej głosie pojawiła się tonacja zaciekawienia.

– Sam.
 – Tak zawsze sam? – zdziwienie zmieniło się w niedowierzenie.
 – Wyobraź sobie, że tak... Ale zawsze podczas swoich podróży marzyłem o tym, abym jak najszybciej poznał ciebie...

Kierowca podniósł wzrok, zerknął na rozjaśnioną twarz narzeczonej, mimowolnie, niekontrolowanym odruchem wyciągnął prawą dłoń w jej kierunku. Poczuł mocny uścisk, po kilku sekundach palce Barbary rozczapierzyły się, weszły między jego palce.

Dłonie Barbary i Janusza zacisnęły się w mocny węzeł.

Samochód sunął drogą wśród brzóz obsypanych szronem z szybkością żółwia pełznącego przez rozgrzane piaski pustyni.

Dłonie na chwilę rozłączyły się, ale w chwilę później z powrotem zbliżyły się do siebie, zwarły się w uścisku, trwały w nim długo, aż poculi oboje na palcach lepki pot.

– Wiesz, coś ci powiem... – Janusz podniósł wzrok, poruszył ustami.
 – O, chyba coś bardzo ciekawego?
 – Basieńko, ja całe czterdzieści trzy lata czekałem na taką piękną podróż.

– Na pewno? – Twarz narzeczonej zapłonęła rumieńcem.
 Przytaknął.

Dłonie po raz kolejny zwarły się w mocnym uścisku.

Samochód prowadzony lewą ręką Janusza powoli toczył się przed siebie, tak jakby i on pragnął, aby ten mocny uścisk trwał jak najdłużej.

Malina

Zapadał jesienny zmierzch, otulał szarą powłoką drzewa w sadzie, rozwłóczył swój całun na pobliskie budynki.

Podszedł na sam kraniec sadu, chciał sprawdzić, czy brama jest zamknięta.

Tuż przy niej dostrzegł na wysokiej łodydze jedną ciemnopurpurową malinę.

Zerwał ją ostrożnie, delikatnie położył na dłoni, następnie uniósł ją do góry, blisko oczu, z przyjemnością skonstatował, że jest dorodna, pokryta solidnym rumieńcem.

Szedł ostrożnie ścieżką wiodącą do domu, każdy krok stawiał rozważnie, ostrożnie, bał się, aby leżący na dłoni dorodny owoc nie zmienił swojego położenia, nie zniekształcił swojego doskonałego kształtu.

Co pewien czas zerkał z dumą na zapewne ostatnią zerwaną w tym roku tak dorodną malinę.

Zdawało mu się, że na własnej rozciągniętej na całą długość dłoni nie-
sie coś, co przypomina królewskie berło.

Ukochana żona krzątała się przy kuchni.

Podszedł blisko, stanął naprzeciwko, wziął ze stołu mały scyzoryk, precyzyjnie przeciął malinę na dwie połowy, jedną z nich włożył w rozchylone usta żony.

Po chwili jego usta zamknął mocny, serdeczny pocałunek.

Jeszcze teraz, po latach, chętnie wspomina ten najserdeczniejszy pocałunek w całym swoim długim i ciekawym życiu.

Podróż

Pociąg dalekobieżny przecinał reflektorami niezmierzone ciemności nocy, huśtał się na rozjazdach, kołysał do snu pasażerów jadących do odległego miasta na krańcu kraju.

W jednym z przedziałów młody mężczyzna sposobił się do drzemki, wygodnie rozparł się w fotelu, ręce położył na kolanach, zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek.

Obok po jego prawej stronie o mocnym śnie marzyła młoda elegancka kobieta.

Mężczyzna po kilku minutach głośno zachrapał, z jego ust wydobył się uciążliwy świst, który błyskawicznie zamienił się w spokojne równomierne pochrapywanie.

Jego prawa dłoń mimowolnie, odruchowo, centymetr za centymetrem, zbliżyła się do ręki siedzącej obok niego młodej kobiety. Poczul aksamitną delikatność jej dłoni, odważnie położył swoją prawą rękę na jej lewej ręce, niepostrzeżenie, milimetr za milimetrem wsunął swoje palce między jej palce.

Zachrapał głośno, chyba chciał w taki prozaiczny sposób zatuszować to, co zrobił.

W tej samej chwili z prawdziwą przyjemnością skonstatował fakt, że nieznana kobieta zaciśnęła palce swojej lewej dłoni między palcami jego prawej dłoni.

Mężczyzna – samotny od trzech lat, młody wdowiec – lekko ścisnął za palce nieznanej kobiety, po chwili jej palce objęły delikatnym uściskiem palce jego dłoni.

Młody mężczyzna zachrapał, po chwili przyjemnie dotarł do jego świadomości fakt, że palce nieznanej kobiety siedzącej obok niego jeszcze mocniej zaciśnęły się na jego dłoni, nawet przez chwilę bał się, że uścisk będzie jeszcze mocniejszy.

Ogarnął go błogi, sielski spokój, zapadł w głęboki sen.

Pociąg zakołysał się na rozjazdach, łuna świateł pociągu jadącego z naprzeciwka nagle wtargnęła do środka wagonu, przesunęła się po twarzach ciasno stłoczonych pasażerów pogrążonych w drzemce.

Samotny wdowiec otworzył oczy.

Jego prawa dłoń opierała się o krawędź siedzenia, miejsce obok było puste, młoda kobieta najprawdopodobniej wysiadła na którejś z mijanych stacji.

Czuł w dłoni jeszcze jedynie ciepło po jej uścisku, szybko zaciśnął swoją dłoń mocno, jak najmocniej, aby jeszcze chociaż przez pewien czas ogrzać się ciepłem dłoni innego, życzliwego mu człowieka.

Antoni Pieńkowski

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jarmila Hašková (1887-1931)

Życie¹

Andula miała duszę pełną radości i wierzącą w szczęście. Ufność promieniała z jej oczu i dodawała wdzięku jej ruchom. Andula była młoda, krzepka i dobrze zbudowana, miała świeżą cerę i zdrowe zęby. Służyła w Pradze i podobała się chłopcom. Wiedziała, że się podoba, chociaż nie wiedziała, na czym polega jej wartość i powab, i dlatego wszystko, co miała, dała bardzo tanio, ot tak, przez przeoczenie, z niedopatrzenia, żołnierzowi, który odprowadzał ją do domu z zabawy. Nie знаła go, nie kochała go, ale kiedy po drodze objął ją w pasie, było jej przyjemnie, oparła się o niego, nie protestowała, nie zarzucała niczego, kiedy ją ścisnął i szła, dokąd ją prowadził. Tak się to wszystko odbyło, obeszło się bez słówka miłości. Andula z tej chwili zyskała jedynie poczucie własnej zdrowej młodości, wspomnienie źle ogolonego podbródka, kilku całusów śmierdzących tanim tytoniem i odrażająco wilgotnych. Po tygodniu znów się spotkali, a potem jeszcze raz – ostatni.

Andula dowiedziała się, że żołnierz ma na imię Franta i zgodnie ze swoją prościutką filozofią modliła się wieczorem do Najświętszej Panienki Maryi:

„Módl się za mnie, żeby Franta ożenił się ze mną, zanim będę miała dziecko”.

Była wtedy pełna radości życia i wierzyła, że żołnierz, któremu przypadkiem stanęła na drodze, jest szczęściem, które Bóg jej zesłał.

Czwartej niedzieli żołnierz nie czekał. Andula chodziła ulicą na górę i na dół, a potem powiedziała sobie, że widocznie Franta ma służbę. Odżałowała żołnierzka, przeszła przez Pragę, a wieczorem poszła na tańce. Znów odprowadzał ją żołnierz, ale inny. Znowu objął ją w pasie, znów przycisnął

1 Opowiadanie ze zbioru pt. *Povídky o slabých ženách a silných mužích a naopak (Powiastki o silnych kobietach, slabých mužczyznach i na odvrót, 1927)*. Notę biograficzną tej dziennikarki, pisarki, humorystki, pierwszej, ale i jedynej legalnej żony Jaroslava Haška, zamieściliśmy w „Podglądzie” nr 4(19) 2019 na str. 144.

mocno do siebie. Młodość Anduli przemówiła, ale mimo wszystko Andula umiała się oprzeć.

- Niech mi pan da spokój, ja już mam innego.
- A co, ten już panią zostawił?
- Skądże. Franta mnie nie porzuci, pobierzemy się, to już pewne.
- Przecież on się nie dowie.
- Akurat. Niech pan mnie puści, ja pana nie chcę.

Andula zdecydowanie poszła w kierunku ulicy, gdzie służyła.

„Mieć jednego chłopaka, to nie jest wielki grzech”, powiedziała sobie, gdy wchodziła po schodach, „to już mi ksiądz odpuści, a przed ślubem i tak muszę iść do spowiedzi – ale mieć dwóch chłopaków, przecież jestem porządna dziewczyna”.

Franta znów nie przyszedł. Andula złościła się, ale żyła jak dawniej. Prała, zmywała, prasowała, rozmawiała ze sklepikarką, z dozorczynią i młodym pomocnikiem kupca i tak beztrudnie żyła przez trzy miesiące, które dzieliły ją od rozpacz. Wreszcie pani wezwała ją i rzekła surowo:

- Andulo, z kim to masz?



Andula popatrzyła na nią, nic nie rozumiejąc. Żył do tego stopnia te-
raźniejszością, że nawet nie myślała o zmianie, która ją dotknęła, ani nie
zauważyła, że należałoby już coś ukrywać.

– Co? – odparła Andula, ale w tym momencie zrozumiała. Zaczzerwie-
niła się krwistym rumieńcem i rozjaśniło się jej w głowie. Jak gdyby ktoś
rozsunął przed nią zasłonę, za którą czyhał zły los. Czula, że wyciąga po nią
bezlitosną ręką, zachwiała się i zaszlochła:

– Łaskawa pani, niech mnie pani nie wyrzuca, co ja pocznę, chyba po
prostu musiałabym skoczyć do wody!

Andula się rozplakała i pani nic więcej nie pozostawało niż pocieszać.

– Jedź do mamy, ona to zrozumie, no, albo niech Andula idzie do domu
porodowego, jak już wszystko się odbędzie, to znów do nas wróci – a dzie-
cko już jakoś wyżywi z bożą pomocą.

Andula powoli się uspokoiła. Zdecydowała, że napisze list do domu.
Kiedy wieczorem siedziała nad kartką papieru i pisała dziwne zdania, re-
miniscencje z przeczytanych książek, znów była już spokojna i uśmiechała
się z radości, jak wszystko ładnie poukładała. Pisała:

Droga Mamusiu,

*Pozdrawiam Mamę i całuję i zawiadamiam Mamę, że jestem wprawdzie
chwała Panu Bogu zdrowa, ale że Bóg zesłał na mnie ciężką próbę i że
nie oparłam się pokusie. Droga Mamusiu, niech Mama nie zapomni, że
jestem Waszą córką i że wpadłam w zmartwienie, w wielką biedę i że,
jestem z tym sama, a że ten mały robaczek nie jest temu winien i że to
Wasza krew i mleko. Mam go z Frantą, nawet nie wiem jak się inaczej
nazywa, nie jest mi to wiadome, zakręciło mi się w mojej biednej gło-
wie, niech się Mama zmiłuje nade mną i zamyśli nad moim młodym
życiem. To jest historia mojej smutnej miłości a ja Mamie to wszystko
opisałam, jak mi mówiło sumienie i według mojego osądu. Drodzy ro-
dzice, napiszcie mi wiadomość, odpowiedzcie mi szybko, jeśli macie serce
w piersi i udzielcie mi schronienia, mnie i temu mojemu robaczkowi,
którego noszę pod sercem. Teraz jestem w trzecim miesiącu i całuję Was
sto tysięcy razy. Wasza nieszczęsna córka Anna.*

Kiedy przysłała z domu ostra odpowiedź, Andula się popłakała, zawią-
zała tobolek i poszła do Czerwonego domu. Po drodze żegnała się znakiem
krzyża i mówiła sobie „Niech tym panom Pan Bóg błogosławi, że pamiętali
o nas, nieszczęśnicach”.

W klinice położniczej wkrótce opuściło Andulę przygnębienie. Wiodziała sto losów, z których jeden był podobny do drugiego jak dwie krople wody i znów wracała jej wiara w życie. Sprzątała korytarze, prała pieluchy i bieliznę, usługiwała na oddziałach, a w jej sercu pojawiała się wielka czułość za każdym razem, gdy usłyszała płacz dziecka. Cieszyła się na swoje macierzyństwo i nie wstydziła się swojej brzemienności. Przywykła też do tego, że była publicznie badana i że studenci medycyny i akuszerki uczyli się na niej.

– Za to, że się tu na nas każdy uczy, mamy to za darmo – powiedziała jej dziewczyna, która karmiła ładną córeczkę.

– Wyobraź sobie, co byś robiła, gdyby cię tu nie wzięli...

Potem przyszła na Andulę jej godzina. Andula modliła się, wbijała paznokcie w zaciśnięte pięści, skręcała się z bólu, bała się krzyczeć i przyciskała brodę do piersi, żeby nie mieć grubej szyi. Kobieca próżność nie opuściła jej nawet w tych strasznych godzinach.

– Dobrze to idzie – stwierdziła młodsza asystentka naczelnej lekarki.

Potem Andula jednak nie wytrzymała, wrzasnęła, aż okna się zatrzęsły i padła na poduszkę. U jej nóg zakwiliło niemowlę.

– Ma pani chłopczyka – powiedziała jej asystentka, opatrzyła ją, ułożyła dziecko i odeszła. Andula została sama. Nie mogła zasnąć, tak rozpierała ją duma. Wydawało jej się, że poprzez urodzenie dziecka wzniosła się gdzieś bardzo wysoko. Było jej dobrze jak człowiekowi, który wypełnił swoje życiowe zadanie. Chłopczyk był żwawy. Imię dali mu po ojcu, Franta, i Andula tak go pokochała, że gdyby jego ojciec był przyszedł i chciałby dzielić z nią radość z dziecka, to chyba by nawet tego nie chciała. Zapatrzoną była w dziecko i promieniała szczęściem, kiedy ktoś je pochwalił. Jej ambicja skupiła się na tym, jak Franio przybierał na wadze.

Przez cały ten czas nie dostała ani jednego listu. Nikt nie przypominał sobie o opuszczonym osiemnastoletnim stworzeniu w Czerwonym domu. Żyła w nowym otoczeniu, miała nowe troski, a i tak czasem wspominała mamę.

„Pokażę chłopca babci”, powiedziała sobie i decyzja została podjęta. Na próżno asystent ją przekonywał, że może zostać w klinice położniczej, dopóki będzie karmić.

– Jak raz panią wypuścimy, musi się pani sama o siebie zatroszczyć. Wrócić już pani nie może. Niech się pani zastanowi.

– Skądże, panie doktorze, pojedę do domu. Przecież mnie nie wyrzucą z takim chłopczyną! – Popatrzyła na dziecko z dumą i błogością.

Za tydzień zastukała do okna rodzinnej chatki. Zapukała i skurczyła się, żeby jej nie zobaczyli od razu. Nie ze wstydu, że wraca z dzieckiem, ale z ciekawości, jak będą zaskoczeni, jak zadziwią się cudem, który im pokaże. Stary człowiek otworzył drzwi.

– Tatusiu – zawołała radośnie, ale zlekła się chłodnego wyrazu jego twarzy. – Popatrzcie, kogo wam przynoszę pokazać – i wyciągnęła ręce z dzieckiem. Drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem, tylko przeniknęło przez nie twarde słowo. Andula skamieniała. Uklękła na progu i wołała, prosiła. Nic. Podniosła się, pocałowała dziecko i powiedziała „Chodź, mój okruszku!”. Obróciła się i szła z powrotem na stację. Nie słyszała już, jak drzwi się znów otworzyły, jak starzec wyszedł i wołał:

– Andulo, gdzie jesteś? No chodź i nie rób głupstw. Andulo!

Andula jechała do Pragi. Jej oczy nie były już ufne. Macierzyńska duma już nie dodawała jej skrzydeł.

Wydała ostatni halerz. Dziecko płakało, a nie miała w co je przewinąć. Była głodna, zmarzła. Wieczorem dojechała do Pragi i wahając się, poszła do kliniki położniczej. Przyjmą ją? Nie przyjmą?

Nie przyjęli. Stała na ulicy i przerażona patrzyła na brązowe drzwi. Na górze były małe łóžeczka, pieluszki, życzliwi doktorzy i wesołe kobiety w połogu – na dole było pusto, zimno. Była głodna i bolały ją ręce. Franciszek kwilił i popłakiwał. Co począć, co robić? „Utopić się” – rzekła do siebie Andula.

– Ty moje złotko, syneczku śliczny – szepnęła i rozejrzała się. Nikt nie szedł ulicą. Położyła dziecko na progu kliniki, zadzwoniła, uciekła i schowała się za rogiem. Co się stanie? – Drzwi się otworzyły. Andula usłyszała, jak drzwi zaskrzypiały i skurczyła się. Po chwili drzwi znów się zatrzasnęły. Andula jeszcze chwilę poczekała, potem wyslizgnęła się ze swojego kącika i popatrzyła na drzwi. Nic tam nie leżało. Odetchnęła. Franciszek znów dostanie swoje łóžeczko, ktoś mu poda pierś i suchą pieluszkę. Ale to już nie będzie jej pierś, Boże, Boże – i to jest życie?

*Z czeskiego przełożyła
i zilustrowała
Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

Z przekładów Doroty Jovanki Ćirlić

Mirjana Miočinović

Apel o zachowanie ostrożności

wobec profesji pisarza¹

Minione dziesięciolecie uczy nas czegoś, o czym nie powinniśmy zapominać: pisarz skłonny jest do brania na siebie zadań, których zwykły człowiek unika, a pisarz podejmuje się ich świadom, że nie poniesie konsekwencji, które spotkają zwykłego człowieka za to, co robi i za wypowiedziane słowa. Bo pisarz jest chroniony przez swoją profesję, inaczej mówiąc, rozpowszechnione mniemanie, że widzi więcej i lepiej od innych, że ma dar przewidywania, a więc i prawo, by prowadzić nas po jakichś szlakach, których inni nawet nie mają odwagi dostrzec.

Ta magiczna aureola, z której świat odarł już w dużym stopniu swoich pisarzy i intelektualistów w ogóle, doświadczony przykładami ich wielkich zdrad na przestrzeni tego wieku, wciąż zdobi głowy pisarzy z naszych obszarów, czy to serbskich, czy bośniackich albo chorwackich, nadal są pewnego rodzaju wróżbitami-uzdrowicielami, nauczycielami, którzy mówią nam, co powinniśmy robić, którzy tłumaczą nam znaczenie pojęć i tego, co się za nimi kryje. To, że pisarz mógłby widzieć lepiej niż inni, że mógłby rozumieć lepiej niż inni znaczenie rzeczy, że mógłby odnotowywać dzięki „swojej wrażliwości zjawiska, które dopiero pączkują, które dopiero przeżywamy” (D. Kiš²), nie podlega wątpliwości.

Ta umiejętność, pozostawmy na boku dar komunikowania się, nie jest wśród pisarzy ani bardziej rozpowszechniona, albo rzadsza, niż to się

1 Tekst wygłoszony na kongresie PEN Clubu w Bośni i Hercegowinie, który odbył się w Sarajewie 26-29 października 2000 roku. Wydrukowany w sobotnio-niedzielnym wydaniu gazety „Danas” (11-12 listopada 2000) i w książce *Nemoć očiglednog. Prvi i drugi deo (Niemoc oczywistego. Część pierwsza i druga)*, Centar za kulturnu dekontaminaciju, Beograd 2014.

2 Danilo Kiš (1935-1989), serbski pisarz, poeta, eseista i tłumacz. Przedstawiciel nurtu postmodernistycznego w literaturze, w swej prozie wykorzystywał wątki autobiograficzne. Autor licznych przekładów poezji francuskiej, rosyjskiej i węgierskiej.

dzieje wśród pozostałych bożych stworzeń obdarzonych rozumem i wrażliwością. Dlatego przypisywanie jednej profesji tych niemal boskich umiejętności jest groźnym występkiem wobec prawdy.

Mówię: groźnym, bo w naszych czasach środki służące szerzeniu uprzedzeń mają większą moc rażenia niż kiedykolwiek. Jeśli dacie możliwość komuś, kto uchodzi za pisarza, żeby swoje niby to prawdy, swoje tak zwane widzenie spraw, wygłosił za pośrednictwem telewizji więcej niż kilka razy, obowiązkowo więcej niż kilka razy, to nie tylko stworzycie z niego osobowość, ale też jego „prawdy”, jego „widzenie spraw” najszybciej jak można przeobrazicie w „opinię publiczną”. I nie ma tego „drugiego głosu”, dochodzącego z jakiegokolwiek środowiska (wyjawszy może kapłanów z religijnie sfanatyzowanych wspólnot), który mógłby się temu zapewne z podobną siłą przekonywania przeciwstawić.

Mówię to pod wpływem dotkliwego doświadczenia ostatnich dziesięciu lat: pisarze w środowisku, z którego się wywodzę, tworzyli ideologiczne matryce na zawołanie i na potrzeby władzy (ideologię należy tu rozumieć jako zbiór sloganów, z pomocą których władza prezentuje oczekiwane lub rzeczywiste cele swojej polityki) i wierzone im bardziej niż pozostałym, przede wszystkim przez tę mgławicę przesądów, które wciąż jeszcze otacza ją figurę pisarza i jego tak zwaną misję.

Dlatego zawsze z pewną taką podejrzliwością patrzę na spotkania, kiedy ze sfery krytycznego mówienia o profesji pisarza, do którego skłania nas nie tak odległe doświadczenie, próbuje się przejść w sferę futurystycznych przewidywań albo co gorsza wytyczania od nowa zadań stojących przed literaturą, nawet gdyby wydawały się najszlachetniejsze.

Bo gdyby ci sami, którzy przyczynili się najbardziej do zniszczenia i dezintegracji ludzkiego ducha, którzy swoim pisaniem tak naprawdę wystawili całą społeczność na cel, a jednak jako pierwsi spakowali swoje walizki i z aureolą męczennika albo dysydenta wyjechali w jakieś bezpieczniejsze kraje albo też, nie zapomnijmy, bardziej wyrozumiałe i przyjazne środowiska, albo chroniąc siebie jako drogocenny egzemplarz gatunku, albo – nie zapominajmy o trzecim wariancie – ci, co pisali swoje teksty w „zgodzie ze sobą” i nie zwracając uwagi na świat wokół siebie, i jak oni, nie tylko w pojedynkę, ale w ogóle jako cała profesja, będą mogli mieć jakiegokolwiek prawo, by zabiłżniać rany albo cokolwiek budować? Ponieważ w ostatnim dziesięcioleciu w naszym kraju doszło do niebywalej inwersji: o ile niegdyś było dopuszczalne, aby pisarz, jeden jedyny, ten jeden jako rodzaj wyjątku, odnosząc się do moralnych i innych pryncypiów zawartych

w kodeksie profesjonalnym (a nie ma profesji, która kodeksu nie ma), odciął się od nich, jednak nie stawiając ich tym samym pod pręgierzem, właśnie dlatego, że on sam jest wyjątkiem dzięki zastosowaniu podstawowej zasady profesji, o tyle dzisiaj korporacja pisarzy pozwala sobie rzucać cień podejrzania na każdego członka, który do niej należy (zjawisko występujące dotychczas tylko w świecie kryminalistów i prostytutki).

Jak w takim razie, uwolniwszy się od wspomnianych mistyfikacji, spróbować przywrócić zaufanie do słowa pisanego? Jak stworzyć mechanizmy obrony przed jego nadużyciem, jak wyczulić słuch na obecność prawdziwych wartości, stłamszonych przez zagłuszający wrzask pisarzy – wiejskich proroków i pisarzy – ekshibicjonistów? Od razu musimy powiedzieć, że nie da się tego łatwo przeprowadzić, póki będzie potrzeba obecności wiejskich proroków i ekshibicjonistów, potrzeba, która zresztą zrodziła się wśród pisarzy tego skostniałego w istocie gatunku. Bo nasza świadomość jest skażona, a niektóre skazy są właściwie nieodwracalne.

Kiedy to mówię, mam na myśli znowu przede wszystkim środowisko, z którego się wywodzę i w którym otrzeźwienie, a do niego doszło, nie oznacza jeszcze chęci przyznania się do niewłaściwie ułożonych marzeń. Prawdopodobnie jeszcze długo będziemy świadkami tych marzeń wypierania, bo długo będzie się szukać jakiejś osłony pod parasolem paternalistycznej władzy, która powinna nas, niedojrzałe dzieci, chronić przed wiedzą. Słowa „zgryzota duszy serbskiej”, o których tylko Miodrag Stanisavljević³ odważył się w tych latach pisać z ironią i odrazą, wciąż mają swoją moc. A pocieszyciele, zwłaszcza wśród pisarzy, zawsze się znajdują.

Ja jednak wierzę, że nie jest łatwiej żyć, nie jest łatwiej pisać, czyli – chciałabym powiedzieć – dobrze pisać, nawet jak się ma w sobie to, co czuje ofiara. I wydaje mi się, że to może być problem, z którym zmagają się pisarze Bośni i Hercegowiny. Bo jest coś „uwłaczającego w cierpieniu”, powiedziałby Danilo Kiš.

A więc „czytelnik (powinien) odczuć grozę opisywanych zdarzeń, ale też estetyczne obrzydzenie, które wywołuje literatura” (dalej cytuję Kiša), bo to jedynie jest dowodem obecności talentu, daru.

I kiedy pewnego dnia zdobędziemy się na odwagę, by w tym, co jest owocem cierpienia, albo w tym, co jest owocem buntu, dostrzec obecność

3 Miodrag Stanisavljević (1941-2005), serbski poeta, dramaturg, felietonista, redaktor. Wydał ponad dwadzieścia tomów wierszy, dramatów i esejów. Autor audycji radiowych, spektakli telewizyjnych i teatralnych. Bezkompromisowy krytyk serbskiego nacjonalizmu i reżimu Slobodana Miloševića.

daru, dopiero wtedy będziemy mogli ustanowić przekonującą skalę wartości i dopiero wtedy będziemy, jedni drugim, mogli coś zaproponować. Dopiero wtedy będziemy mieć szansę na rozmowę o rzeczywistej rekonstrukcji naszych światów i naszych pozrywanych więzi.

Przełożyła Dorota Jovanka Ćirlić



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

NOTA BIOGRAFICZNA

Mirjana Miočinović (ur. 1935 w Belgradzie), pisarka i uczona serbska, jest teatrologiem, a także tłumaczką literatury. Do października 1991 roku wykładała na Wydziale Sztuk Dramatycznych w Belgradzie, który opuściła w proteście przeciw wojnie. Opublikowała książki: *Eseje o dramacie* (1975), *Narodziny literatury współczesnej – dramat* (red., 1975), *Cruel Theatre, Origins, Experiments and Arto's Synthesis* (1976, 1993), *Modern Drama Theory* (red. 1981), *Teatr i Gilotyna* (1990, 2008), *Niemoc oczywistości* (1997, 2014). Opracowała *Dzieła zebrane* Danila Kiša, którego twórczość stanowi główny obszar jej zainteresowań zawodowych. Przekładała z francuskiego dzieła C. de Lauderamonta, A. Artauda, G. Genette'a, A. Ubersfelda, F. Duponta, J.-P. Sarrazaca i in. Laureatka Nagrody Sterija w dziedzinie teatrologii (1991), a także Nagrody Sterija za szczególne zasługi (2005) oraz „Wienca Laurowego” (2011), przyznanego przez Muzeum Teatralne Wojwodiny za całokształt twórczości w dziedzinie teatrologii. (pmn)

